



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józef Bratosiewicz

## Biały niewolnik

Piątek 1 września 1939 roku w Jankowie był pogodny, słoneczny, jak zresztą kilka ostatnich tygodni. Leniwy poranek mąciły tylko przeloty bombowców. Patrzyliśmy na te samoloty nie wiedząc, co się dzieje. Po kolejnym przelocie słychać było na wschodzie od naszej wioski potężne wybuchy. Dopiero około południa rozeszła się po wsi wiadomość, że to naloty niemieckie. Podobno bombardowali stację kolejową w Kutnie. Przez radio podano wiadomość, że Niemcy bez wypowiedzenia wojny napadły na nasz kraj. Informowano również, że Warszawa też była bombardowana. Powiedział nam o tym gospodarz, który jako jedyny w całej okolicy posiadał odbiornik radiowy. A zatem wybuchła wojna! Co ona nam przyniesie? – zastanawialiśmy się... Na razie tylko tyle, że nie poszliśmy do szkoły. Słaba pociecha.

Sobota, 2 września. Od samego ranka widzieliśmy przeloty eskadr bombowców. Leciały w kierunku Warszawy, a po pewnym czasie wracały. Przed samym południem oglądaliśmy bitwę powietrzną. W górze słychać było strzelaninę. Widzieliśmy polskie myśliwce atakując powracające niemieckie bombowce. Z kolei naszych pilotów ostrzelały niemieckie myśliwce. Po kilku okrążeniach jeden z naszych samolotów zapalił się i zaczął spadać. Smutni i zdezorientowani zakończyliśmy ten dzień.

Niedziela 3 września była taka jak poprzednie dni – siedzieliśmy wiele godzin u gospodarza, który miał odbiornik radiowy. Zebrało się u niego kilkoro mieszkańców Jankowa. Nadawane wiadomości co chwilę przerywała zapowiedź: „Uwaga, uwaga, nadchodzi, koma...” i wtedy następował szyfrowany komunikat! Było to bardzo przygnębiające. Natomiast wiadomości były podawane bardzo oględnie. Słyszeliśmy o bombardowaniu węzłów kolejowych, lotnisk, a także o obronie naszych oddziałów i walce z niemieckimi wojskami. Nie podawano gdzie i jak są położone tereny walk, oraz kto kogo bije. Można się było tylko domyślać, że długo nasi się nie utrzymają. Podano też wreszcie w radio, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. To ludzi jakoś podbudowało. „No, teraz to Niemców pogonia” – mówili gospodarze, którzy brali udział w I wojnie światowej.

Poniedziałek 4 września od samego rana był wyjątkowy. Na szosie od Poddębic zaczął się duży ruch. Pojawiły się wyładowane dobytkiem wozy, a na nich całe rodziny uciekinierów z województwa poznańskiego. Ludzie jechali na rowerach, na wozach, członkowie organizacji zmilitaryzowanych w mundurach, z karabinami. Było tutaj wielu policjantów, którzy uciekali w obawie przed niemieckimi represjami, ale najwięcej ludności cywilnej – urzędnicy państwowi, gminni, nauczyciele, właściciele ziemscy i inni. Z braku zajęcia wybrałem sobie wygodne miejsce na jednej wierzbie przy drodze do Łęczycy, z którego doskonale widziałem ten niekończący się sznur uciekinierów. Ta masa młodych ludzi z bronią strasznie mnie bulwersowała. Jak to – tylu ludzi mogłoby walczyć, a oni idą! Dokąd? Ale

widząc niemieckie samoloty latające bezkarnie i bombardujące miasta, mogłem się domyślać, że brak nam dobrego lotnictwa i obrony przeciwlotniczej.

W naszym domu zatrzymał się jeden pan, uciekinier z poznańskiego, właściciel jakiegoś sklepu. W 1918 roku brał udział w Powstaniu Wielkopolskim w związku z czym obawiał się represji Niemiec. W drodze jego żona zaniemogła i o dalszej ucieczce nie mogło być mowy. Rodzice zgodzili się więc, żeby z nami zamieszkali. Mimo że nasza rodzina była bardzo liczyła, to i dla przybyszy znalazło się miejsce.

Środa, 6 września. Niemcy podobno ostrzeliwali falę uciekającej ludności, a nawet mówiono o bombardowaniach. Przypominam sobie jak w środę około południa wracające z bombardowania Warszawy samoloty zniżyły się i słychać było strzały. Byłem wtedy na dworze. Gdy tylko usłyszałem nawracające samoloty, wpadłem na ziemniaczane pole i tam się ukryłem. Wiedziałem tylko tyle, że nie wolno biegać, gdyż oni z kabiny pilota doskonale widzą biegnącego. Po tym nalocie z wrażenia leżałem na polu jeszcze z 15 minut.

Czwartek, 7 września. Fala uciekinierów z zachodu urwała się – nikt nie wiedział dlaczego. Wybrałem się z Józkiem Pęgowskim do naszych sąsiadów Graczyków. Zebrała się tam nasza gromadka, a więc Graczykówna, nasza koleżanka ze szkoły, która nas zaprosiła na muzykę z płyt gramofonowych, Rogutowie i chyba nasz Stasio. Gramofon był nakręcany korbką, płyty firmy Odeon, a głos był wzmacniany przez dużą tubę. Dla nas była to rewelacja. Piosenki, jakich słuchaliśmy, to były przeboje lat przedwojennych. Wtedy ktoś z dorosłych doniósł nam, żeby iść do swoich domów, bo gdzieś od strony Łęczycy słychać było strzały. W tej sytuacji zakończyliśmy spotkanie. My ze Stachem mieszkaliśmy przy szosie na niedużym pagórku. Kiedy znaleźliśmy się na górze zobaczyliśmy ze zdziwieniem jakichś żołnierzy. Ktoś z dorosłych powiedział wówczas: „Czy to nie są przypadkiem żołnierze francuscy?”. Ruch był duży. Na motocyklu szybko od strony Łęczycy podjechał jakiś patrol, obok stał jakiś żołnierz, chyba starszy rangą, gdyż ten z patrolu zaczął składać mu meldunek. Znalazłem się obok niego, ale jak ten starszy mnie zobaczył, to zaraz na mnie wrzasnął i pokazał ręką, gdzie mam uciekać. Natychmiast, bez zastanowienia, po prostu dałem nogę do domu i stamtąd obserwowałem, co się dzieje. A działo się dużo. Całe oddziały wojska szły w kierunku Łęczycy. Dopiero nasz współlokator z poznańskiego uświadomił nam, że to Wehrmacht, czyli niemieckie wojsko. Teraz sprawa już była jasna – weszli już do połowy Polski.

Po niedługim czasie do naszego domu przyszli hitlerowcy i wzięwszy sobie za tłumacza poznaniaka wypytywali, kto tutaj jest gospodarzem, czy nie ma polskich żołnierzy. Kiedy ojciec zaprzeczył, że nie ma, to ten starszy, chyba oficer z rewolwerem w ręku kazał swoim żołnierzom sprawdzić mieszkanie, natomiast na strych kazał wejść pierwszemu ojcu. Dopiero za nim powoli wchodził żołnierz i rozglądając się obejrzał strych. Po chwili wszystko było sprawdzone i wtedy do naszej stodoły zakwaterowano parę koni oraz niemieckiego wojaka, który je obsługiwał. Dogadali się też z ojcem w kwestii wyżywienia i paszy.

Do wieczora, cały czas szły oddziały niemieckie w kolumnach, artyleria i wozy taborowe w kierunku na Łęczycę. Słychać też było odgłosy artylerii. Co się tam działo, to trudno było się domyślać, żadnych wiadomości stamtąd nie mieliśmy. Dopiero wieczorem dowiedzieliśmy się, że te strzały, które słyszeliśmy to były polskie patrole wysłane z Łęczycy. Kolarze i tankietka natknęli się na patrole niemieckiej piechoty (na motocyklach) koło wsi Janków Górny, blisko miejscowości Zduny. Tam doszło do gwałtownego starcia, w którym spalony został polski samochód pancerny (TKS) i poległ jego dowódca.

Nam nie wolno było nigdzie daleko chodzić. Mogliśmy przebywać tylko w okolicy własnego domu. Chociaż już w piątek pod wieczór zrobiło się tak jakoś ciszej. Żołnierzy niemieckich wszędzie było pełno, jednak nie zwracali na nas uwagi, więc dzieciaki biegały sobie po dworze. Noc przeszła spokojnie. Zastanawialiśmy się nawet czy to nie koniec wojny. A gdzie nasze wojsko, którego nawet nie widzieliśmy?!

Sobota 9 września była tak jak i poprzednie dni słoneczna. Niemieckie samoloty jak co dzień leciały na Warszawę, a potem wracały. Naszych nie widzieliśmy na niebie. Niemcy rozgościli się w dworku u pana Kamińskiego. Prawdopodobnie był tam jakiś sztab, gdyż ciągle podjeżdżali żołnierze na motocyklach, chyba z meldunkami. Artyleria gdzieś tam bardzo daleko na wschodzie dudniła, a oddziały hitlerowskie, które u nas kwaterowały posilały się i były zajęte swoimi sprawami.

Około godziny 16-tej zauważyliśmy wzmożony ruch Niemców. Biegali jak wściekli. Widzieliśmy jak łapią przygodnych ludzi i ich legitymują, potem niektórych prowadzą do dworku pana Kamińskiego. Zaczęli krzyczeć na dzieci, pokazując nam dom. Nie było dyskusji. Siedzieliśmy więc w domu, a nasza mama co chwilę sprawdzała, czy jesteśmy w komplecie. Za chwilę wpadł ojciec. Mówił, że coś się dzieje, bo z kierunku Małej Leźnicy słychać jakieś strzały. Patrzymy przez okno, bo mama nie pozwoliła wyjść na podwórko i widzimy tyralierę niemieckich żołnierzy, jak przez plantację naszego rabarbaru, chowając się, idą na północ, skąd słychać strzelaninę. Po godzinie przycichło, tylko Niemcy chodzili jak wściekle osy. Zaczęła się ewakuacja oddziału stacjonującego we dworze. Od strony Łęczycy wycofywały

się całe kolumny Wehrmachtu. Szły oddziały piechoty, tabory i działa, ciągnięte przez czterokonne zaprzęgi. Konie w tych zaprzęgach belgijskie, potężne (perszerony). Działa duże, jakich nigdy w naszym wojsku nie widziałem.

Kiedy już zapadł zmrok, ten nasz poznaniak przyczajony pod oknem (oczywiście w mieszkaniu) usłyszał, jak maszerujący szosą żołnierze rozmawiali ze sobą i od razu nam przetłumaczył: „kto by się spodziewał, że ci cholerni Polacy tak na nas uderzą? Przecież nasze czołgi są już pod Warszawą!”. Dobrze jest znać obce języki, a szczególnie dobrze jest znać język wrogów. Te oddziały szły dosyć długo w nocy. Natomiast nasza rodzina wkrótce położyła się spać, bo już nikt nam nie przeszkadzał.

Niedziela, 10 września. Dzień słoneczny. Wszędzie cisza jak makiem zasiał. Niemców w folwarku nie było. Nawet nieprzyjacielskich samolotów nie było widać. Co się dzieje? Dopiero krótko przed południem pojawił się od strony Leźnicy Małej konny patrol polskiej kawalerii. Okazało się, że jeden z żołnierzy to jakiś znajomy czy brat dziewczyn, które u nas w gospodarstwie pracowały. Wypytywał ojca o te dziewczyny. Cóż można było powiedzieć? Przecież od tygodnia ich u nas nie było. Kawalerzyściypytywali też o Niemców. Kiedy posilali się w naszym domu, nadleciał ktoś od strony folwarku pana Kamińskiego krzyżąc: „w stawie leżą zabici!”. No, to już wszyscy pobiegli do tego stawu. Nam dzieciakom oczywiście nie pozwolono tam podejść. Dowiedzieliśmy się tylko, że to nasi sąsiedzi, których niemieccy żołnierze złapali bez dokumentów i ich w sobotę wieczorem rozstrzelali. Byli między nimi i niektórzy z sąsiednich wsi, którzy przyszli obejrzyć obce wojsko. W stawie było siedmiu zabitych. Niemcy przykryli ich drabinami, żeby nie było widać.

Ta wściekłość butnych Niemców wzięła się stąd, że akurat wtedy nasza Armia „Poznań” uderzyła na Łęczycę i oni musieli uciekać. Mścili się również w Łęczycy, gdzie rozstrzelali wielu niewinnych ludzi. Dopiero potem odeszli. Taki to był ten rycerski Wehrmacht!

Nasi ludzie wydobyli ze stawu pomordowanych, a rodziny pozabierały ciała. Żołnierze kawalerzyści pocieszali ludzi, że jeszcze Niemców pogonią. Ale co oni mogli wiedzieć? Akurat jak byliśmy przy tym folwarku, przeleciały niemieckie myśliwce. Jeden z kawalerzystów, taki bardziej krewki, zdjął karabinek z ramienia i krzyknął: „nie mam naboju przeciwlotniczego, bo dostałby kulę”. Myślę, że trochę się przechwalał, bo coż znaczy karabinek przeciwko samolotowi? Absolutnie nie! Potem kawalerzyści odjechali w kierunku Leźnicy Małej.

Ludzie długo komentowali mord dokonany przez niemieckich wojskowych na zupełnie niewinnych ludziach. Pograżeni w smutku położyliśmy się spać. Co będzie jutro?

Poniedziałek, 11 września.. Od rana znowu dzień słoneczny. Każdy zajął się swoją pracą. Nam dzieciakom mama nie pozwalała się nigdzie oddalać. I słusznie. Dopiero tak jakoś koło południa od strony folwarku Mniszki (strona południowa) podjechały konne zaprzęgi polskich kawalerzystów – karabiny maszynowe na taczankach. Żołnierze odczepili konie i ukryli je w stajniach pana Kamińskiego, a obsługi karabinów maszynowych zamaskowały sprzęt i skierowały lufy karabinów w stronę rzeki, skąd spodziewano się ataku nieprzyjaciela.

Trudno powiedzieć, o której godzinie, ale było to dosyć późnym popołudniem, któryś z żołnierzy zauważył, że na szosie od Poddębic porusza się jakaś szara masa. Widzieliśmy to doskonale, bo nasz dom stał na wzgórku. Dopiero po chwili, widocznie przez lornetkę dowódca wypatrzył, że to piechota niemiecka. Widać było tę szarą masę jak szli pewnie, niczego się nie spodziewając. Kawalerzyści natychmiast przygotowali się do ataku, oczywiście nie konno, ale gotowi do użycia karabinów maszynowych. Już wcześniej zagoniono wszystkich cywilów do domów i my dzieciaki tylko przez otwarte drzwi widzieliśmy te przygotowania. Mama trzymała nas przy sobie nigdzie nie pozwalając się ruszyć. Byliśmy wszyscy oprócz ojca, który był w tym czasie z fernalami na folwarku pana Kamińskiego. Ta denerwująca cisza trwała jakieś 10-15 minut, dotąd aż czoło kolumny doszło do spalonego mostu na naszej rzeczce. Wtedy rozpętało się piekło. Polskie karabiny maszynowe waliły do niemieckich żołnierzy jak do tarczy. Musiało ich tam wielu zginąć od tego niespodziewanego ataku polskich kawalerzystów. Ten ogień z ckm-ów trwał bez przerwy kilkanaście minut. Dopiero po pewnym czasie Niemcy oprzytomnieli, ustawili swoje działa i zaczęli strzelać. Odezwała się też ich broń maszynowa.

Rodzina nasza była zgromadzona w tej części domu, gdzie było najbezpieczniej czyli w sieni. Drzwi wychodziły na szosę. Żołnierze ze stanowisk wpadali do nas po wodę do chłodnic karabinów maszynowych, gdyż od ciągłego ognia lufy strasznie się rozgrzewały. Nawet Stachu podrzucał im wodę w wiaderku, ale mama jak to zobaczyła, to zabroniła mu tego zdecydowanie. Patrząc na szosę widziałem kurz wzbijany przez niemieckie kule z ich broni maszynowej, a jęczały te przelatujące pociski jak stado szatanów. Mama była strasznie zdenerwowana, bo nie było z nami ojca, a Niemcy tak tłukli, nawet w dom, aż sadza z naszego komina leciały do kuchni. Młodsze dzieciaki trzymały się dzielnie, nie płacząc, ani nie bojąc się.

Po upływie około pół godziny zobaczyliśmy pierwsze pożary po stronie niemieckiej. Palily się zabudowania gospodarskie na Karkosach. Artyleria nieprzyjacielska zaczęła strzelać gdzieś dalej, bo pociski przelatywały nad nami. Zaczęło się ściemniać i nasze oddziały gdzieś odjechały w kierunku folwarku Mniszki. Zostaliśmy sami, a Niemcy co jakiś czas otwierali ogień w naszą stronę. Dopiero jak

już było całkiem ciemno, mama zarządziła opuszczenie domu. Zaczęło się pakowanie pierzyn, poduszek i różnych rzeczy, które uznawała za niezbędne. Następnie pozamykała wszystkie drzwi i z tobołami na plecach, powoli, wyszliśmy do ogrodu, a potem przez płot z drutu kolczastego przedostaliśmy się do sąsiada dróżnika. Jego dom położony był trochę niżej, za naszą górką i jakby w cieniu naszych zabudowań. Ten pan dróżnik był bardzo sympatyczny, a mieszkał ze swoją żoną i chyba z siostrą. Tutaj przyjęto nas serdecznie i zaraz dostaliśmy coś do jedzenia, bo głód nam trochę dokuczał. A potem spać. Nic nas nie mogło powstrzymać, ani luny od palących się domów, ani sporadyczne strzelanie, które nocą ucichło zupełnie.

Wtorek, 12 września. Rano nadal nie było ojca, więc mama obawiając się Niemców kazała nam się spakować i z tymi tobołami na plecach poszliśmy na północ, koło zabudowań pana Dziwisza (też uciekł), koło domu Kałużnych, aż do folwarku Zduny, który był za torami kolejki wąskotorowej, około 1,5 kilometra od naszego gospodarstwa. Idąc tak oglądałem z daleka naszą okolicę. Cisza była absolutna. Widać było z drugiej strony rzeki Zian pożary stodół czy też domów. Żadnych wojsk nie widziałem. Wreszcie spokojnie doszliśmy do folwarku. Zabudowania folwarczne – stodoły czy piwnice były zbudowane niezwykle solidnie: podmurówka z kamienia, ściany bardzo grube z cegły. Stanowiło to pewną ochronę przed pociskami, nawet artyleryjskimi, a tym bardziej przed kulami karabinowymi. W tych piwnicach było już wielu okolicznych mieszkańców. Nas też przyjęto i wreszcie na przydzielonym nam kawałku rozłożyliśmy nasze bety.

Nasza gromadka składała się z siedmiu osób: mama, ja, Stachu, siostry – Jasia, Hania, Marysia, mały Czesio (czterolatek). Brakowało tylko ojca. Grozę potęgowały plotki, że podczas ostrzału artyleryjskiego ktoś słyszał czy widział, że zginął! Nikt nie wiedział na pewno, ale zasiał niepokój w naszej rodzinie. Nie pamiętam czym się tam żywił – chyba tylko chlebem i może trochę masłem. Zresztą, to nie było najważniejsze.

W tej piwnicy była większość okolicznej ludności. Byli też nasi sąsiedzi, chociaż nie wszyscy. Jednak te mury piwniczne były w stosunku do naszych domów dużo bezpieczniejsze, stropy były betonowe. Nie było też tutaj bombardowania lotniczego. Tak powoli upływał czas, tylko z naszej wsi Jankowa dochodził huk artylerii. Podobno strzelano w kierunku Łęczycy, bo nocą było widać świetliste smugi pocisków. Tam się toczyły największe walki, a także pod Łowiczem.

Dopiero po południu zrobił się ruch. Przybiegła dziewczyna od pani Dziwiszowej – Stefcia Szymańska, która opiekowała się jej dziećmi. Opowiedziała nam, że pani Dziwiszowa, obawiając się działań wojennych, zdecydowała się zostawić swój dom i przenieść się z rodziną do folwarku Zduny, czyli dołączyć do nas. Kiedy razem z siostrą męża wzięła po jednym dziecku na ręce i już wychodziły z bramy na drogę wiodącą do folwarku, rozpoczął się niemiecki ostrzał artyleryjski. Jeden z pocisków rozerwał się tuż obok nich zabijając siostrę pana Dziwisza. Panią Dziwiszową lekko ranił i ciężko przestraszył Stefcie Szymańską. Cud boski, gdyż żadnemu z dzieci w ramionach kobiet nic się nie stało. Wszyscy ze zgrozą wysłuchali tej tragicznej opowieści, a potem rządca folwarku pan Szamowski – zwany „dziedzicem” – natychmiast ogłosił, że zbiera ochotników na pomoc dzieciakom. Zgłosiła się młoda panna Helena Kałużna (sąsiadka Dziwiszów), ale on chciał jeszcze jakiegoś mężczyznę. Nikt jednak nie chciał ryzykować. Wtedy ja nieśmiało zgłosiłem się, że pójdę z nimi i będę niósł transparent z czerwonym krzyżem. Młody rządca popatrzył na mnie trochę nieufnie, ponieważ nadal nie było innego chętnego a dzieci czekały na pomoc, wziął mnie ze sobą. Dał mi w rękę jeden koniec transparentu z emblematem czerwonego krzyża i tak w trójkę ruszyliśmy do Jankowa.

Po drodze nic ciekawego nie widzieliśmy. Ja tylko zobaczyłem, jak się palił nasz dom, z którego szedł już dym i widać było zgliszcza. Miał on dach kryty słomą, więc musiał spłonąć dosyć szybko, a teraz tylko dogorywał. Wszystko nam spłonęło, nie mieliśmy tego dużo, ale to był dorobek całego życia Rodziców!

Torbę z opatrunkami niosła pani Helena Kałużna, która się na tym znała. Oboje trzymaliśmy transparent z godłem czerwonego krzyża. Uważaliśmy, że to nas powinno chronić. Tak też na razie było, nikt nie strzelał, absolutna cisza. Doszliśmy do zabudowań pana Dziwisza, ale przed bramą, gdzie wybuchł pocisk widać było tylko niewielki lej. Pani Dziwiszowej tam nie było. Weszliśmy więc dalej i dopiero w domu zastaliśmy ją razem z dziećmi. Obok leżała już nieżywa siostra pana Dziwisza, która podobno doczłogała się tu resztą sił. Natomiast dzieci były całe i zdrowe.

Po opatrzeniu ran pani Kałużna przygotowała coś do jedzenia dzieciom i pani nauczycielce (czyli pani Dziwiszowej). Wtedy nagle zaterkotał karabin maszynowy, gdzieś zupełnie blisko. Wszyscy natychmiast padliśmy na podłogę i tak czekaliśmy, co będzie dalej. Pani Dziwiszowa leżała na posłaniu, jedno dziecko sobie siedziało, a drugie malutkie było w łóżeczku. Serie z tego karabinu powtórzyły się i dopiero po chwili wpadł do mieszkania „dziedzic” krzycząc:

– O mało mnie nie zabili te sukinsyny.

– Kto? – pytamy.

– A diabli wiedzą, kto to strzelał. Zabili tylko kilka kur koło mnie, bo ja natychmiast padłem i schowałem się. Dopiero jak przestali strzelać, to tutaj przybiegłem.

Teraz leżeliśmy razem, a na zewnątrz trwała strzelanina, tak jakby jeden odpowiadał drugiemu, aż po pewnym czasie wszystko ucichło. Trudno było się zorientować, co się działo, gdyż na zewnątrz nic nie można było zobaczyć. Ten stan rzeczy trwał jakieś pół godziny. „Dziedzic” postanowił, że wracamy do Zdun, bo jego rodzina będzie się martwiła. Natomiast pani Dziwiszowa kategorycznie nie chciała się ruszać. Stwierdziła, że „chyba dzieci nie pozabijają, jak ci Niemcy tu wejdą”. Nas też namawiała do pozostania, ale pani Helena Kałużna i „dziedzic” zdecydowali się na powrót, ja natomiast nie miałem nic do gadania. Powoli przygotowaliśmy nasz transparent ze znakiem czerwonego krzyża i ostrożnie wyszliśmy na drogę. Nic, cisza, nikt nas nie atakuje i nikogo nie widać. Nasz dom dymił jak poprzednio, za rzeką dymią jeszcze inne. Idziemy więc w kierunku folwarku Zduny. I wtedy rozległ się pojedynczy strzał, jakby sygnał. Było nawet słyhać jęk przelatującej górą kuli. Wtedy nasza gromadka niewiele myśląc wskoczyła do rowu i chyłkiem szliśmy dalej w tym samym kierunku. Okazało się, że to był dopiero prolog. Po chwili, jakby ten strzał obudził tych na linii frontu, zaczęły jazgotać karabiny maszynowe, a przelatujące nad nami kule bardzo nieprzyjemnie darły powietrze i jęczały. Przywarliśmy do ziemi w rowie. Po kilku minutach, gdy strzelanina osłabła, zobaczyliśmy panią Kałużną chyłkiem przemykającą w rowie do przodu. Była już dosyć daleko od nas. No to my też biegiem za nią, a tu znowu terkot karabinu. Podczas kolejnej ciszy wyskoczyliśmy z rowu i biegiem do stogów siana w pobliżu domu Kałużnych. To im się wybitnie nie podobało! „Maszynki” darły się jedna po drugiej, aż słyhać było szum od tych kul. Musieli mieć blisko swoje stanowiska, bo odgłos strzelania był bardzo wyraźny. Wreszcie chwila ciszy i doczołgaliśmy się do mieszkania. Zaraz też poleciała seria i tylko dachówki pospadały na ziemię. Płachta z symbolem czerwonego krzyża nic nie pomagała!

W domu rozmawialiśmy z „dziedzicem” o różnych rzeczach, bo był to człowiek wykształcony i służący w wojsku. Powiedział, że nie zdążyli go powołać podczas mobilizacji. Po pewnym czasie tak się rozzuchwaliliśmy, że obaj wyszliśmy spod łózek. On obejrzał mieszkanie, ale nic ciekawego tam nie było. Na zewnątrz nie wychodził, gdyż jeszcze sporadycznie strzelało jakieś działo. Ale wiedzieliśmy, że to nie dla nas były przeznaczone te pociski, więc byliśmy już spokojniejsi. Tak powoli doczekaliśmy się nocy. Strzelanie zupełnie ustało, widocznie Niemcy po kolacji uznali, że trzeba też odpocząć.

„Dziedzic” wyjrzał na świat, ciemno jak u przysłowiowego murzyna, cisza, więc postanowił: „wracamy, co ma być, to będzie”. Wzięliśmy obaj ten nasz transparent i maszerujemy. Droga była dosyć dobrze widoczna, więc dobrze nam się szło. Tylko z daleka było słyhać odgłosy armat. Ja oglądając się na naszą wieś i za rzeczkę Zian widziałem łuny dogasających pożarów. Minęliśmy tory kolejki wąskotorowej i wreszcie znaleźliśmy się w pobliżu zabudowań folwarcznych. Przywitał nas tłum ludzi zebranych przy wrotach. Czekali na nas, bo pani Helena Kałużna pod wrażeniem ucieczki opowiedziała o naszych przygodach. Powiedziała, że ona uciekła, a my chyba zginęliśmy, bo taka tam była strzelanina, że niemożliwe „by oni wyszli z tego żywi”. Jak nas zobaczyli, to radość była wielka. Pierwsza dopadła mnie mama i z nerwów przyłożyła mi solidnego klapsa. „To nie było już dorosłych?” – krzyknęła do „dziedzica”. Ano nie było! A potem o mało mnie nie udusiła przy powitaniu.

Natomiast po powitaniach podszedł do nas „dziedzic”, czyli pan Szamowski i powiedział do mamy: „dzielny chłopak, z nim było mi raźniej”. Wtedy na pamiątkę wręczył mi srebrne 10 złotych. Poza tym dodał: „te pieniądze nie są ważne, mnie chodzi o to, żebyś miał pamiątkę ode mnie, jak szliśmy na ratunek pani Dziwiszowej i ty się dzielnie zachowałeś”. Naprawdę, ten symboliczny dar jest dla mnie pamiątką do dzisiaj.

Środa, 13 września. Dobrze wyspany powitałem kolejny wojenny dzień. Od samego ranka po folwarku i we dworze kręcili się już Niemcy, czyli żołnierze Wehrmachtu. Przed południem pojawili się pod piwnicami. Byli w towarzystwie „dziedzica” oraz tłumacza, który ogłosił wszystkim, żeby mężczyźni wyszli na zewnątrz. Rozkaz był kategoryczny. Oddział przed piwnicą stał z karabinami w rękach i tylko czekali na jakiś bunt. Przy wychodzeniu dorosłych mężczyzn ustawiali osobno, natomiast kobiety i dzieci zostały w środku. Ja też zamierzałem zostać z kobietami i dziećmi, ale jakiś gorliwiec złapał mnie za rękę i skierował do grupy mężczyzn. Potem zaczęli kontrolować piwnicę, czy nie ma tam polskich żołnierzy. Oczywiście nie znaleźli. Natomiast mężczyźni, do których dołączyłem, zostali ustawieni pod murem. Kazali nam położyć ręce na murze i tak czekaliśmy na wynik kontroli w piwnicy. Za plecami mieliśmy oddział żołnierzy, wyglądających bardzo ponuro w tych swoich stalowych hełmach. Karabiny z bagnetami nie sprawiały miłego wrażenia, szczególnie po tym rozstrzelaniu niewinnych ludzi w Jankowie. Czas płynął, a my staliśmy pod tym murem, aż w pewnym momencie zobaczyliśmy kątem oka kobiety i dzieci wychodzące z tobołami z piwnicy. Zaświtała nadzieja, że nic nam nie grozi. Poza tym oni w piwnicy nic groźnego nie znaleźli i to nas na pewno uratowało. Po chwili kazali nam dołączyć do naszych rodzin, co uczyniliśmy z dużą radością.

Teraz niemieccy żołnierze szczerkając po niemiecku sformowali kolumnę z lokatorów piwnicy i przy obstawie ruszyliśmy w kierunku Jankowa. Idąc słyszeliśmy dudnienie dział, ale gdzieś bardzo daleko, chyba za Łęczycą, gdzie toczyła się bitwa. Kiedy podeszliśmy bliżej naszego domu mama zobaczyła zgłiszczą i tylko westchnęła: „co oni nam zrobili, gdzie teraz będziemy mieszkali...”. Dzieciaki ze zgrozą patrzyły na swoje mieszkanie, ale nic nie mówiły. Przechodzimy koło domu dróżnika, następnie koło

naszego domu, a potem w stronę dworku pana Kamińskiego. Weszliśmy na duże podwórze, na którym było pełno wojska niemieckiego, samochody i motocykle. Widocznie stacjonował tutaj sztab jakiejś jednostki. Zatrzymano nas i tłumacz powiadomił ludzi, że dla wszystkich będzie wydawana gorąca zupa z kuchni polowej. Tylko każdy musi mieć swoje naczynie. Zaraz też uformowała się kolejka po posiłek. Przede wszystkim jednak ludzie odetchnęli, że pewnie przeżyją, skoro mają dostać zupę. Wydawali chyba grochówkę, ale dokładnie nie pamiętam, bo z wściekłości na Niemców za mojego ojca wcale jej nie ruszyłem. Już nas nie pilnowali, można było chodzić na lewo czy prawo, byle niezbyt daleko. Ja tylko pytałem o ojca, czy przypadkiem ktoś go nie widział, bo przecież w czasie tej walki był na podwórzu i koło stajni. Fornale mówili tylko, że uciekł z drugim fornalem przez ogrody, ale poza tym nikt nic nie wiedział.

Tłumacz niemiecki nakazał nam ustawić się w kolumnę i przygotować do wymarszu, ale już bez konwoju niemieckich żołnierzy. Podali prowadzącemu nazwę majątku, kilka kilometrów od Jankowa. Tam kazali czekać na zakończenie wojny. Chyba była to miejscowość Pełczyska. Kolumna nasza weszła na szosę prowadzącą do Poddębic i wtedy zobaczyłem setki naszych żołnierzy bez pasów, z rozpiętymi płaszczami, w czapkach bez orzełków prowadzonych przez Niemców na zachód, to jest w tym samym kierunku, w którym my szliśmy. Wielki żal ścisnął mi serce. To jednak już przegraliśmy! Ze strzępów rozmów, jakie do nas dochodziły dowiedzieliśmy się, że Armia „Poznań” i Armia „Pomorze” zostały odcięte od Warszawy i były zmuszone się poddać. Żołnierze szli przygnębieni, niektórzy nawet z bandażami wokół głowy czy na rękach. Smutne to było. Opowiadali o strasznych bojach koło Łowicza i Sochaczewa.

Przechodząc koło naszego domu dokładnie widzieliśmy zgliszcza zabudowań. Po godzinie lub dwóch skręciliśmy z głównej szosy w prawo do folwarku, gdzie zostaliśmy zakwaterowani. Przebywaliśmy tam do około 25 września, ale ponieważ nikt nas nie pilnował uznaliśmy, że można wrócić do folwarku Zduny. Tak też zrobiliśmy. Spakowaliśmy nasze skromne bety i naprzód. Poszliśmy inną drogą, zdaje się, że wyszliśmy lasem na Leźnicę Małą (chodziło o to, żeby nie spotkać Niemców). Stamtąd prosto do folwarku Zduny. Rządca majątku, czyli wspomniany „dziedzic” pan Szamowski przydzielił naszej rodzinie pustą izbę w dworskich czworakach. Były tam puste cztery ściany, podłoga z gliny i chyba jakiś piec czy kuchnia, gdzie można było coś ugotować.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, to przynieśliśmy dużo słomy, żeby zrobić jakieś posłania do nocnego spoczynku. Mieliśmy ze Stachem już pewną wprawę, bo tak było już w Pełczyskach. Pierzyny i jakieś prześcieradła mieliśmy własne, przyniesione na plecach. Słomę ułożyliśmy na glinianej polepie pod ścianą, na to położyliśmy prześcieradła i kładliśmy się wieczorem jedno obok drugiego, przykrywając się pierzynami.

Mnie i Stacha pan Szamowski zatrudnił do pilnowania zasiewów zbóż ozimych, tzn. do odganiania wron, gawronów i wszelkiego ptactwa. Wtedy przypomniałem sobie broń biblijnego Dawida. Zmontowaliśmy więc ze Stachem „sznajdry”, ale dopiero po nabyciu pewnej wprawy w miotaniu pocisków zaczęliśmy odnosić sukcesy, szczególnie gdy dobraliśmy odpowiedni kamień o ostrych krawędziach, który po wyrzuceniu warczał w powietrzu i wtedy ploszył te stada. Walka z nimi trwała do połowy października. Potem ruń się zazieleniła i nasza praca nie była potrzebna.

W międzyczasie byliśmy ze Stachem na starych śmieciach, czyli na gruzach naszego domu. Nic tam nie znaleźliśmy, wszystko się spaliło. Mogliśmy tylko oglądać niemieckich żołnierzy jadących w kierunku Łęczycy. Weseli byli, a nawet robili sobie świetne żarty kierując broń w naszą stronę. Kilka razy spotkaliśmy koleżanki ze szkoły. Pamiętam szczególnie Krysię Pawłowską (taka moja cicha sympatia) pochodzącą chyba z Kolonii Janków i jej koleżankę z Zrzepocina.

Na początku października powrócił mój ojciec. Radość była ogromna, ale mama po przywitaniu się wygarnęła mu, że tak długo nie wracał. Długo się musiał przed nią tłumaczyć. Ale najważniejsze, że wrócił cały i zdrowy.

Tymczasem po powrocie ojciec zorientował się, że domu nie ma możliwości odbudować, pracy żadnej w folwarku dla niego nie było, brakowało mieszkania dla rodziny, a zima za pasem. Poszedł więc do Łęczycy do pani Kantorowej i opowiedział o naszych stratach, z których najbardziej dotkliwa to utrata krowy – żywicielki. Ustalił, że około 20 października cała nasza rodzina przeprowadzi się do Łęczycy do matki pani Kantorowej, czyli do pani Kamińskiej. Tam ojciec miał dostać pracę.

Tymczasem „dziedzic” po poufnej rozmowie ze mną wysłał mnie z pewną wiadomością do Łęczycy do swojego kolegi z wojska. Adresu nauczyłem się na pamięć. W razie zatrzymania przez Niemców miałem powiedzieć, że idę odwiedzić ciocię Rózię, która mieszka w Łęczycy. Do tego pana trafiłem bez problemu i przekazałem mu wiadomość o planowanym spotkaniu. Do domu też wróciłem bez przygód, bo nikt nie zwracał uwagi na małego chłopca.

Zamieszkaliśmy w Łęczycy u pani Kamińskiej. Nasza gospodyni miała córkę Wandę, która wyszła za mąż za lekarza medycyny Kantorka. Wanda Kantorek mieszkała z dwiema córkami na Ozorkowskim Przedmieściu, gdzie miała ładny domek. Natomiast syn pani Kamińskiej – Zygmunt – posiadał majątek w Jankowie. Dom, w którym zamieszkaliśmy był drewniany i położony trochę za zabudowaniami,

raczej na łąkach. Mieszkała tam już rodzina Klimczaków oraz pani Kazimierczakowa z dwiema dorosłymi córkami. Pani Kazimierczakowa podczas odbijania Łęczycy przez Armię „Pomorze” i Armię „Poznań” została ranna w rękę, którą podczas operacji jej amputowano. Natomiast z rodziny Klimczaków Niemcy rozstrzelali ojca i ranili najstarszego syna Józefa w wieku około 20 lat, który w czasie dobijania rannych nie ruszał się udając martwego i dzięki temu uniknął niechybnej śmierci. Po odejściu Niemców został opatrzony przez polską służbę medyczną. Okazało się, że kula przeszła obok serca i tylko dzięki szybkiej pomocy uratowano mu życie. Był on teraz głową rodziny Klimczaków. Była jeszcze jego młodsza siostra Weronika oraz najmłodszy z rodzeństwa Roman, mający około 11 lat.

Zamieszkaliśmy pośród rodzin jeszcze bardziej poszkodowanych przez Niemców aniżeli my sami, bo cóż znaczy strata domu w stosunku do utraty życia najbliższych... Mój ojciec podjął pracę u pani Zofii Kantorek, która mieszkała na Ozorkowskim Przedmieściu. Dostaliśmy jakieś łóżka, stół, ławki, krzesła i byliśmy trochę umeblowani. Pierzyny i bieliznę dzięki staraniom mamy mieliśmy własną.

Dłużył się najtrudniejszy okres w życiu naszej rodziny, ale dzięki Opatrzności uszliśmy z życiem z tej pozogi wojennej, z walk o Łęczycę. Najważniejsze, że kto tylko mógł to w miarę swoich możliwości nam pomagał. Najtrudniej było z żywnością, której nie mieliśmy w zapasach, bo przecież te przygotowane wcześniej zostały spalone, jak na przykład mąka i różne kasze. Pani Kamińska w ramach przyszłej zapłaty za pracę i za tę naszą zabitą w działaniach wojennych krowę, dała nam swoją, którą nazwaliśmy „Mecką”. Teraz mieliśmy już własne mleko, którym dzieliliśmy się z rodzinami Klimczaków i Kazimierczaków. Brakowało jednak innych produktów, niezbędnych do życia, nie mówiąc już, że dla rosnących dzieci brakowało nie było mięsa, brakowało kaszy, grochu i z chlebem też były duże trudności. Codziennym naszym pokarmem była zwykła zalewajka, czyli wodna zupa zaprawiona mąką, do której wrzucano trochę kartofli. Ta zalewajka była na śniadanie, na obiad i na kolację. Poza tym po prostu musieliśmy polować w piekarniach na chleb, na który czekało wielu innych. Jedliśmy ten chleb nawet jak był gorący, a więc wiadomo, że szkodliwy. Gwoli ścisłości muszę jeszcze dodać, że była też gotowana kawa, do której dodawano mleka. Mieliśmy jej sporo jeszcze z Jankowa, kiedy to niemieckie wojska uciekając z Łęczycy zostawiły około 25 kilogramów prawdziwej kawy, a także kawał wędzonego boczku. Początkowo każdy się bał tego ruszyć, nie mówiąc o tym, żeby to konsumować. Ale my dzieciaki potajemnie jedliśmy boczek i potem się do tego przyznaliśmy. Była bura, ale odtąd piliśmy ją całą rodziną, nawet kilka razy dziennie.

Niemcy, panoszący się teraz na naszej ziemi, nie musieli czekać w kolejkach po chleb, oni mieli swoje sklepy i dla nich było wszystko. Mąka, cukier i inne produkty rolne, a nawet artykuły kolonialne, jeszcze z okresu przedwojennego. Tylko trzeba było mieć pieniądze. Początkowo używano jeszcze polskich złotych, z tym że każdy zbierał srebrny bilon (2 złote i 10 złotych były srebrne). Ale my biedacy nie mieliśmy nawet tych banknotów, nie mówiąc o srebrze!

Taki stan trwał aż do wiosny 1940 roku. Wtedy trochę zaczęło się poprawiać, bo oboje rodzice pracowali i otrzymywali za to wynagrodzenie. Ojciec pracował u pani Kantorkowej, a mama doila trzy razy dziennie krowy u pani Kamińskiej. Była już własna mąka i własny, pieczony przez mamę chleb. Z mąki i kaszy też można było coś ugotować. W tym okresie doskwierał nam brak nafty. Ludzie jednak dawali sobie radę. Zaczęto w warsztatach wytwarzać „karbidówki”, czyli oświetlenie karbidowe. W tym urządzeniu zbudowanym na wzór lampy, do obudowy wsypywano karbid, na który kropelkami sączyła się z góry odpowiednio dozowana woda. Wtedy karbid pod wpływem wody wydzielal palny gaz. Ten gaz był doprowadzany do góry metalową rurką zakończoną palnikiem. Kiedy go zapalano powstawał niezwykle jasny płomień. To wszystko było dobre, tylko od tego jasnego płomienia dzieci dostawały zapalenia spojówek. Ale zawsze było to lepsze niż siedzenie po ciemku.

Chyba w połowie października 1939 roku w Łęczycy Niemcy otworzyli szkołę podstawową dla polskich dzieci, do której zaczęliśmy uczęszczać. Teraz to dopiero okazało się, jacy to jesteście biedni. Nic nie mieliśmy – ani żadnej książki, ani nawet jednego zeszytu. Nie mówiąc już o innych akcesoriach i pomocach. Dzieciaki nasze miały tylko ołówki i kartki papieru, żeby coś tam zanotować. Ja z mojej klasy pamiętam tylko naukę śpiewu, którą prowadził niemiecki nauczyciel. Uczył nas piosenki „jak dobrze nam zdobywać góry i młodą piersią wchłaniać wiatr” oraz podstaw języka niemieckiego. Innych przedmiotów nie pamiętam.

Po feriach, już w styczniu 1940 roku, zabroniono polskim dzieciom chodzić do szkoły. Jeśli dziecko wychowywało się w rodzinie inteligenckiej, to przeważnie miało domową biblioteczkę, rodzice posiadali pewną wiedzę, albo starsze rodzeństwo mogło uczyć młodszych. Tymczasem w naszej rodzinie nie mieliśmy nawet książeczki do nabożeństwa, bo i ta została spalona. Nie mówiąc już o tym, aby ktoś miał nas uczyć, skoro rodzice ledwie potrafili się podpisać i trochę czytali.

Niemcy namawiali mojego ojca i mamę w Biurze Gestapo w Łęczycy, aby podpisali volkslistę, ale rodzice kategorycznie odmówili. Gestapowiec powiedział wtedy, że ja sam mogę podjąć decyzję w tej sprawie. Ja oczywiście też odmówiłem. Ale też cenę za to zapłaciliśmy wielką. Brak szkoły przez pełne sześć lat dla czwórki dzieci, to była rzecz nie do odrobienia. Przekonaliśmy się o tym po okupacji. Tak było w całym województwie łódzkim, poznańskim i na całym terenie Polski włączonym do Rzeszy. Nasz

okręg nazwali Warthegau (czyli okręg Warty). W Protektoracie obowiązywały inne prawa, bo to niby były polskie tereny, na których dzieci chodziły do szkoły powszechnej i nawet było jakieś szkolnictwo średnie, ale jakie to nie wiem. W Rzeszy niemieckiej szkoły dla polskich dzieci nie było. Wiem, że w późniejszym okresie niektórzy chodzili do szkoły zawodowej w Łęczycy, jeśli pracowali u krawca, czy też w innym zawodzie na przykład w warsztatach. My z tego przywileju, pracując w folwarku, nie skorzystaliśmy. Natomiast teraz w 1940 roku, po zamieszkaniu w Łęczycy, od córki pani Łukawieckiej, nauczycielki, pożyczałem różne książki do czytania. Trwało to oczywiście krótko, ale zawsze trochę skorzystałem, szczególnie zimą.

Wiosną przyszyły straszliwe roztopy. Tak jakoś w marcu nastąpiła duża odwilż i Bzura zalała nasze mieszkania. Woda początkowo była niska, ale po jednym dniu tak się podniosła, że w mieszkaniu było jej po kolana. Nie mogliśmy tam mieszkać. Pani Kamińska wzięła wszystkie rodziny do pałacyku i tam na rozłożonej słomie spaliliśmy na podłodze. Po tygodniu wróciliśmy na swoje śmieci. Dosłownie – taki tam był brud i szlam!

Jakiś czas po zajęciu przez Niemców Łęczycy Żydzi dostali polecenie noszenia żółtych gwiazd Dawida. Zbierano ich w grupy do różnych prac w mieście, między innymi do oczyszczania. Idąc do pracy musieli śpiewać: „jak był Śmigły Rydz, nie nauczył nas nic, gdy przyszedł Hitler złoty, nauczył nas roboty”. Przykro było patrzeć na ludzi wykształconych, inteligencję, lekarzy, nie mówiąc o innych fachowcach, którzy w ten sposób się marnowali.

W maju lub czerwcu 1940 roku stanowisko lekarza powiatowego objął Niemiec sprowadzony z Berlina. Było to takie grube chłopisko. Przydzielili mu pałacyk pani Kamińskiej, z tym że ona na razie też w nim mieszkała. Lekarz ten po pracy lubił chodzić na nasze łąki, które przylegały do parku łęczyckiego. Brał ze sobą dubeltówkę i strzelał do wron i gawronów, które uwiły sobie gniazda na drzewach. Potem kazał mi je zabierać do kuchni, gdzie były przyrządzane jak ptactwo domowe.

Wraz z wiosną 1940 roku trzeba było zacząć spłacać krowę, którą otrzymaliśmy od pani Kamińskiej. Wypadło na mnie, że będę się zajmował jej kilkoma krowami, a przy okazji doglądał naszej Mečki. Łąka była zupełnie blisko, nie była to więc praca zbyt uciążliwa.

W czasie, kiedy u pani Kamińskiej zamieszkał wspomniany wcześniej lekarz, zaczęły się wysiedlenia Polaków, przesiedlenia (i grabieże) Żydów do gorszych mieszkań i tym podobne szykany. W naszym gospodarstwie pojawił się folksdojcz, gestapowiec chodzący w czarnym mundurze, który prawdopodobnie miał obserwować lekarza. Pilnował też jego interesów i do wszystkiego się wtrącał. Widzieliśmy, że pani Kamińska już niedługo nie będzie tutaj właścicielką.

W tamtym czasie bardzo odczułem brak polskich książek. Źródło w osobie córki pani Łukawieckiej jakoś się urwało, a innego nie było. Ze szkolnej biblioteki podobno wiele książek zniszczono. Znajomych z własną biblioteką nie mieliśmy. Stąd przy jakiejś okazji postanowiłem uratować przed Niemcami coś z księgozbioru pani Kamińskiej, trzymanego w piwnicy jej domu. Poczekalem na okazję, kiedy obu Niemców nie było i przez wybite okienko wlałem do tej piwnicy. Udało mi się wynieść dwie książki. Tylko dwie, ale oprawne w płótno, obie z wielotomowego wydania. Jedna to była historia starożytna, a więc Babilon, Syria, Egipt, historia Grecji i Rzymu, aż do średniowiecza. Natomiast druga to historia Polski też do okresu średniowiecza. Miałem więc sporo do czytania i wiele się dowiedziałem. Brakowało mi tylko dalszej historii Polski i Europy, ale bałem się zdobywać kolejne książki w ten ryzykowny sposób.

Zimowe wieczory 1940 roku upływały nam na opowiadaniu najrozmaitszych baśni i niesamowitych zdarzeń. Chodziło o interesujące spędzenie czasu w gronie tych naszych trzech rodzin. Czytanie było w dzień, ponieważ przy świetle karbidówki oczy bolały. Natomiast wieczorem przy opowiadaniu różnych ciekawostek, światło nam nie przeszkadzało. Bajki każdy jakieś tam pamiętał, szczególnie o diable Borucie, bo przecież Zamek Łęczycki był jego siedzibą. Pilnował on tam swoich skarbów i niejeden śmiałek, któremu marzyły się te jego bogactwa przypłacił to życiem.

Wiosną Niemcy zbierali z okolicznych miejscowości poległych w walkach o Łęczycę polskich żołnierzy, dla których utworzyli kwatery na miejskim cmentarzu. Oczywiście pracowali przy tych grobach Polacy. My ze Stachem oglądaliśmy te kwatery. Zrobione były naprawdę przyzwoicie. Na wielu grobach były jeszcze żołnierskie hełmy. Na każdym umieszczono tabliczkę z nazwiskiem i stopniem wojskowym, chociaż zdarzały się bezimiennie. Niemieckich poległych nie było, gdyż wywożono ich do Rzeszy. Pamiętam, jak obok naszej łąki, na łące tumskiej ekshumowano polskich żołnierzy i wydobyto leżące przy nich granaty ręczne. Te granaty jeden z byłych polskich żołnierzy rzucał na te łąki i one się rozrywały. Wielu z nas z bezpiecznej odległości to oglądało. Widziałem takie wybuchy z bliska po raz pierwszy.

Na tych łąkach przy ataku z Topoli Królewskiej na Łęczycę rozegrała się bitwa na bagnety polskich żołnierzy z Niemcami. W samym Tumie została w czasie walk o Łęczycę zniszczona Katedra i chyba jedna wieża kościoła. My dzieciaki oglądaliśmy to kilka razy, gdyż było to blisko, około półtora kilometra od naszego domu. Chodziliśmy tam, bo w pobliżu były tak zwane „szwedzkie okopy”, gdzie można było na wałach trochę poszaleć. Było tam niezwykle pięknie, szczególnie w maju i czerwcu, kiedy łąki



mieniły się różnymi kolorami kwiatów. Nad tymi kwiatami było zawsze mnóstwo owadów, pszczoł i różnorodnego ptactwa.

Przed kampanią francuską w czerwcu 1940 roku niemieckie oddziały szkolono w mieście i na okolicznych polach i łąkach. Pamiętam jak pewnego dnia drużyna niemieckich żołnierzy wpadła na podwórko pani Kamińskiej. Latali i kryli się, potem znowu atakowali. Trwało to przez pewien czas. Wreszcie ich szef dowódca otworzył drzwi w oborze i coś tam do nich wrzasnął po niemiecku. Natychmiast cały oddział, około 10 czy 12 żołnierzy wpadł do obory. Natomiast dowódca i jeszcze jakiś inny wrzucili do środka granaty z gazem łzawiącym. To, co się za chwilę działo w środku, przechodziło nasze wyobrażenie: łomot do drzwi, tłuczenie kolbami, wycie, sprawiały niesamowite wrażenie. My dzieciaki nie wiedzieliśmy, co się stało. Staliśmy dosyć blisko na podwórku i ze zdziwieniem obserwowaliśmy te ich ćwiczenia. Dopiero po kilku minutach dowódca otworzył zaryglowane drzwi i ich wypuścił. To był istny obraz nędzy i rozpacz panów świata. Żołnierze jęczeli i płakali mimo założonych masek na twarzy. Kiedy on rzucił ten granat do środka, nie wszyscy zdążyli szybko założyć swoje maski. A to wystarczyło, żeby się tego świństwa nalykać i żeby to podrażniło oczy. Dopiero kiedy otwarto drzwi przekonaliśmy się jakie to świństwo. Momentalnie zaczęło nas gryźć w oczy.

Wiosna 1940 roku upłynęła nam na nadziei, że jak Niemcy uderzą na Francję, to dostaną w tyłek. Tymczasem w kwietniu 1940 roku Niemcy zdobyli Danię i Norwegię. Natomiast w maju uderzyli na Belgię i Holandię, a potem na Francję, którą pokonali w kilka tygodni. Teraz przekonaliśmy się jak długo i bohaterstwo Armia Polska broniła kraju, stawiając opór przez cały miesiąc dwom potęgom – III Rzeszy i Rosji Sowieckiej. Po opanowaniu kraju Niemcy wszędzie rozlepiali plakaty o polskiej klęsce, na których pokazywali naszego żołnierza z krwawym napisem: „Anglio, oto twoje dzieło”. Chcieli w ten sposób pognać nasz naród. Ale to im się nie udawało. Mimo propagandy, przesładowań i wysiedleń ludności polskiej do Protektoratu i wywozu do Rzeszy, czy do obozów koncentracyjnych. Ludzie zawsze się jakoś pocieszali, że „słońce wyżej, Sikorski bliżej”. Bo wiedzieliśmy, że teraz na czele Armii Polskiej jest gen. Sikorski. Mimo nakazu zdania odbiorników radiowych niektórzy pozostawili je sobie i słuchali audycji w ukryciu. Polskiej prasy nie było, a niemiecka aż się zachłystywała od triumfalnych zwycięstw. Ci, co ją kupowali musieli ją odpowiednio czytać i interpretować. A nie każdy przecież znał język niemiecki. Poza tym szkoda było pieniędzy na te szmatławce.

Chyba latem 1940 roku „kreisarct” z Berlina wysiedlił prawowitą właścicielkę, panią Kamińską z jej pałacyku i pozostał w nim tylko z folksdojczem. Pani Kamińska poszła do swojej córki pani Wandy Kantorek na Ozorkowskie Przedmieście. My natomiast zostaliśmy na razie bez zmiany. Ja już nie pracowałem, bo późną jesienią nie było dla mnie zajęcia. Pani Kantorek miała dobry kontakt z kolegą swego męża, dr Rossym, który był Włochem z pochodzenia a lekarzem weterynarii z wykształcenia. Był też wcześniej w kawalerii i to zamiłowanie do koni mu zostało. Mąż pani Kantorek prawdopodobnie chorował na płuca. Tak się kiedyś złożyło, że musiałem z nim pojechać jako powożący koniem z bryczką do Wartkowic, gdyż Niemcy zatrudnili tego lekarza, żeby leczył konie w majątkach i u poszczególnych gospodarzy. Dr Rossy i jeszcze jakiś jego kolega kawalerzysta po całodziennej pracy wracali do domu do Łęczycy, a ja powoziłem tym konikiem. Po drodze we wsi Zduny zatrzymaliśmy się u jego znajomych i tam dopiero ci panowie dali sobie w gaz. Trwało to prawie do północy i już dobrze pijanych dowiozłem do domu, gdzie już na mnie czekali. Już więcej mi nie pozwolono na takie eskapady.

W zimie 1940/41 roku nasz Niemiec z Berlina postanowił zabrać nam krowę podarowaną przez panią Kamińską, twierdząc, że należy ona do jego stada, które wcześniej zagarnął. Ojciec nie mógł się na to zgodzić, gdyż rodzina zostałaby bez mleka. Wtedy lekarz rozwiązał sprawę w ten sposób, że po prostu wyrzucił nas na bruk, nie zważając na styczniowe mrozy. Krowę oczywiście zatrzymał dla siebie! Zabraliśmy nasze bety, pościel i trochę innych gratów w tobołki, włożyliśmy to na wózek i wyszliśmy całą rodziną na ulicę. W czasie pakowania tobołków pilnujący nas folksdojcz gestapowiec dorwał te moje dwie książki od pani Kamińskiej. Natychmiast je zabrał i jeszcze mi groził, że może mnie posadzić za kradzież. Ja się wybroniłem mówiąc, że były pożyczone od właścicielki. Liczyłem, że nie uda mu się sprawdzić. Oczywiście on tego nie sprawdzał, a więc udało się!

Teraz był kłopot, gdzie mamy mieszkać. Na szczęście siostra mamy Waleria Witczak wzięła nas do swojego mieszkania na Ozorkowskim Przedmieściu. Przygarnęła nas chociaż mieszkali w jednej izbie. Zaczęły się bardzo ciężkie czasy. Brak mleka dla dzieciaków, brak ziemniaków, kaszy i innych produktów, bardzo dawał się we znaki. Dostawaliśmy od ciotki Walerii to, co oni sami mieli. Nie dali nam umrzeć z głodu! A spaliliśmy znowu na podłodze wyłożonej słomą. Już po raz trzeci tej wojny, byliśmy więc przyzwyczajeni do tych warunków. Ojciec dostał czasową pracę w magistracie przy odśnieżaniu ulic. Natomiast my dzieciaki mieliśmy swobodę. Mrozy w styczniu 1941 roku były srogie, zawieje śnieżne też się zdarzały. Przeważnie siedzieliśmy w domu lub też chodziło się po mieście. Pamiętam jak wybrałem się do Sierpowa, żeby odwiedzić Janka Bartosiewicza z Ozorkowa, który tam pracował. Razem z nami poszła jakaś harcerka, chyba 16-letnia. Ta dziewczyna miała charakter. Dużo nam po drodze opowiadała o naszym kraju i pocieszała nas, że jeszcze zwyciężymy. Taka była przedwojenna młodzież, wychowywana w duchu patriotycznym.

Często w wolnym czasie przyglądałem się żołnierzom Wehrmachtu, którzy stacjonowali w łączyckich koszarach. Codziennie ich oddziały wychodziły na strzelnicę oraz na okoliczne pola, gdzie ich szkolono. Trzeba stwierdzić, że to szkolenie było bardzo surowe. Oficerowie i gefraitrzy gonili ich niemiłosiernie po tych polach. Mimo mrozu i śniegu musieli biegać, kryć się w pełnym oporządzeniu, z tymi ich maskami przytroczonymi do pasa. Pozorując atak strzelali ślepakami. Natomiast my dzieciaki biegaliśmy równolegle z nimi, przyglądając się i zbierając wyrzucone łuski po ślepakach. Taki atak trwał kilka godzin i był przeprowadzony nieraz na głębokość kilku kilometrów. Po zajęciach omawiali ćwiczenia i dopiero potem wracali na obiad do koszar. Tak to przygotowywali się do przyszłych walk we Francji, czy też w innych krajach. Po drodze wracając śpiewali swoją widocznie ulubioną: „heili, heilu, heila...”, która to piosenka bardzo mnie denerwowała.

Tak powoli mijał czas. Zima mijała, zaczęły się roztopy i wiosenne szarugi. Gdzieś tak w połowie marca 1941 roku pani Zofia Kantorek powiadomiła ojca, że załatwia nam pracę na folwarku w Witoniu u kreisleitera (czyli starosty niemieckiego). Załatwiono transport konny, czyli wóz zaprzężony w dwa dorodne konie. Zapakowaliśmy resztki naszego dobytku na wóz. Po pożarze i tym drugim wysiedleniu nasze rzeczy mieściły się na ręcznym wózku.

Jechałem na wozie rozglądając się ciekawie po okolicy. Byłem wtedy przeziębiony i ogólnie nie czułem się zbyt dobrze. Po przyjeździe wyładowanie naszych rzeczy trwało bardzo krótko. Byliśmy obiektem zainteresowania mieszkańców czworaków, w których mieliśmy zamieszkać. Przydzielono nam zwykłą, folwarczną izbę, która miała „podłogę” z gliny. W rogu, zaraz przy wejściu, po prawej stronie była usytuowana kuchnia z blatem żeliwnym na fajerki. Mieszkanie miało około 20 metrów kwadratowych, a nasza rodzina liczyła już dziewięć osób. Teraz każdemu trzeba było zapewnić jakieś spanie oraz trochę miejsca na wypoczynek, szczególnie wieczorem. Już nie pamiętam skąd się wzięły jakieś łóżka, stół i krzesła. Napelnialiśmy sienniki słomą, którą co pewien czas trzeba było zmieniać. W każdym łóżku spało nas dwoje, każdy głową w przeciwną stronę, bo tak było jakby więcej miejsca.

Po urządzeniu się w nowym miejscu, w dworskich czworakach, ojciec rozpoczął pracę w folwarku jako fornał. Przydzielono mu parę koni, które służyły do pracy w polu, a jednocześnie do powożenia powozem samego kreisleitera. Kreisleiter (jako starosta niemiecki) musiał urzędować w Łęczycy, wobec czego ojciec codziennie odwoził go na stację w Witoniu, skąd pociągiem dojeżdżał do pracy. Po południu znowu wracał i trzeba było go ze stacji odebrać. Dyspozycje odnośnie pracy w polu, czy też, co innego zrobić na folwarku kreisleiter przekazywał panu Leszczyńskiemu. Pan Leszczyński mieszkał też w czworakach, chociaż wcześniej miał mieszkanie w pałacyku, bowiem jego córka wyszła za mąż za pana Żuchowicza, który był posiadaczem tego mająteczku. Po wysiedleniu z poznańskiego pan Leszczyński przyjechał z żoną do Witoniu do swojej córki. Kiedy Żuchowicz przymusowo opuścił Witonię, Leszczyński został ekonomem u kreisleitera i przeniósł się do czworaków. Oczywiście było to lepsze aniżeli przymusowy wyjazd do Protektoratu. Tutaj przynajmniej miał mieszkanie i lekką pracę. Pamiętam go jako typowego polskiego szlachcica, z wąsami, potężnej postury i rubasznego. Widać było, że w młodości musiał być niezwykle silnym człowiekiem.

Zaraz po osiedleniu się w Witoniu, czyli już w marcu 1941 roku zacząłem pracować. Wynikało to z rozporządzenia niemieckich władz, na podstawie którego Polacy od czternastego roku życia musieli podjąć pracę. Poza tym zmuszały nas do tego trudne warunki ekonomiczne. Jeden ojciec nie mógł na nas zarobić, a jeść musieli wszyscy. Mama miała bardzo dużo roboty z małymi dziećmi, z prowadzeniem domu i przygotowaniem posiłków, opraniem i opieką nad rocznym Tadzim. Poza tym jeszcze rano i wieczorem chodziła na zarobek do folwarku, gdzie z sąsiadką Walczakową doily krowy. Dawało to pewien zarobek, a dodatkowo mieliśmy z tego udoju trochę mleka.

Moim zadaniem było pomaganie starszemu Durysowi, ojcu Antosia Durysa, w doglądaniu około trzydziestu krów. Dla niego jednego było to zbyt ciężkie. Kiedy pierwszego dnia zobaczyłem to stało wypuszczone do wodopoju, to aż mnie zatkało. Potem codziennie rano, jeszcze przed udojem, miałem obowiązek poprawić ściółkę pod krowami i dać nową. Po całej nocy te mlekodajne krowy nabrudziły, delikatnie mówiąc, tak, że dojarki nie mogły wejść, by się nie pobrudzić. Przecież tam musiała być pewna czystość przy każdym udoju. Dojarki myły wymiona każdej krowie, a pilnowała tego pani Alma, folksdojczka. W sumie dosyć nawet sympatyczna dziewczyna, nie narzekałem na nią.

Następnie po udoju byłem zobowiązany do odnoszenia mleka w 20-litrowych lub w 30-litrowych kanach do piwnicy, żeby się schłodziło. Taki całodzienny udój był zabierany następnego dnia i odwożony do mleczarni w Topoli Królewskiej. Dzisiaj mogę się przyznać, że wystawiając rano to mleko, często łyżeczką zbierałem żółtą śmietanę z wierzchu i dopiero to mleko w kanach wystawiałem na zewnątrz. Zbierając tę śmietanę przed wystawieniem z piwnicy nieraz solidnie sobie podjadłem. Nikt nie mógł sprawdzić ile jej zjadłem, bo mleko poruszone w kanie nie było możliwe do skontrolowania. Przenoszenie kan wymagało ogromnego wysiłku. Było to przecież 30 litrów mleka, a do tego pojemnik ważący minimum 10 kilogramów – razem 40 kilogramów. To wszystko zarzucałem sobie na ramię i przenosiłem z obory do piwnicy, a rano z piwnicy na podwórze, skąd je zabierano do mleczarni.

Trzeba było mieć trochę siły, żeby temu podolać, więc nie miałem żadnych skrupułów żeby się dożywić.

Jeszcze przed udojem należało dać krowom karmę, na którą składały się kiszone jesienią liście z buraków cukrowych lub z buraków pastewnych. Dostawały też słomę owsianą lub trochę siana. Przed samym południem trzeba było przygotować się do pojenia krów. Polegało to na tym, że nabierałem wodę ze studni, która była na środku dużego dziedzińca, po czym wlewałem ją do długiego koryta aż do pełna. Trwało to gdzieś około pół godziny. Była to niezła zaprawa fizyczna. Kiedy wszystko było przygotowane następowało spuszczenie krów z łańcuchów, którymi były przymocowane do żłobów. One dostojnie wychodziły z obory na podwórze i tam nieomyślnym instynktem wiedzione szły do wodopoju, czyli do koryta z wodą. Ta zabawa trwała dobre pół godziny, czyli do czasu aż się wszystkie napiły. Czasami wody było za mało i musiałem jeszcze dolewać. Następnie musiałem zapędzić krowy do obory i ustawić we właściwych miejscach, w których normalnie stały. Nie było to łatwe. Ile się człowiek namęczył, żeby zwierzęciu wytłumaczyć, gdzie ma przyjść i czekać na uwiązanie do żłobu! Do tego stada doliczyć trzeba jeszcze krowy pana Leszczyńskiego i Walczaka. Wkrótce też doszła do nich nasza Mecka, którą kreisleiter odebrał na naszą prośbę temu gestapowcowi i kreisarctowi. Ojciec specjalnie poszedł do Łęczycy i wrócił z tarczą, czyli z naszą krową. Możemy sobie wyobrazić wściekłość gestapowca, kiedy ją oddawał! Jest to jedyny przykład, który znam, kiedy to jeden Niemiec odebrał własność Polaka drugiemu Niemcowi i oddał prawowitemu właścicielowi. Sprawiedliwości stało się zadość! Mieliśmy wreszcie własne mleko, twaróg i masło własnej produkcji.

Po napojeniu krów należało przygotować dla stada pożywienie, na które składało się sporo cietej słomy owsianej, tzw. sieczki, do której dodawaliśmy specjalnie siekane buraki pastewne, potem to mieszałyśmy i porcjami, przed udojem dawaliśmy całemu stadu. Odpowiednio najedzone krowy dawały dużo mleka, które schłodzone i następnie odwożone do mleczarni dawało pewien dochód w folwarku.

Przed południem jeszcze trzeba było, chociaż częściowo, każdą krowę oczyścić zgrzebłem i szczotką, ale my to czyniliśmy sporadycznie, gdyż ja osobiście tego nienawidziłem. Do tego rodzaju pracy ze starszym Duryssem robiliśmy sobie odpowiednie zapaski, czyli fartuchy z worków drelichowych, w których pracowaliśmy. W ten sposób oszczędzaliśmy nasze ubrania, gdyż nowe trudno było zdobyć. A poza tym było w nich ciepło, a to też się liczyło.

Tak to trwało przez wiele miesięcy aż do czasu, gdy majątek przejął nowy, przydzielony przez władze niemieckie właściciel, ściągnięty z Wołynia lub Podola po ataku Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. Nazywał się Henryk Bachmann, przyjechał z żoną Heleną i synem Ryszardem. Podobno był rządcą w jakimś majątku na polskich Kresach. Tutaj dostał własny majątek, oczywiście z łaski Hitlera. Nastąpiły nowe porządki. Najbardziej polubiłem małego Ryszarda, który został zapisany do szkoły w Kutnie. Trzeba było go odwozić na stację kolejową, a po południu z powrotem przywozić. Początkowo robił to mój ojciec, ale po jakimś czasie przejął ten obowiązek Michał Czarnecki, który bardzo o to zabiegał. Było to chyba wtedy, kiedy ojciec chorował i on jeździł w zastępstwie. I tak już zostało na dłużej. Zresztą ojcu specjalnie na tym nie zależało.

W ramach repatriacji z nowych terenów przyłączonych do III Rzeszy przyjechał na polskie gospodarstwo z Estonii niejaki Otto Hehel z rodziną. Okazało się, że do pracy u niego w gospodarstwie dostał się Romek Klimczak z Łęczycy, zatrudniony wcześniej u pani Kamińskiej. Mieliśmy więc ze Stachem kolegę z Łęczycy, do którego mogliśmy w wolnych chwilach wpadać. Szczególnie, że Otto Hehel, ze względu na znajomość języka rosyjskiego i na pewno estońskiego, został powołany do Wehrmachtu. Jakoś tak po roku przyszła wiadomość, że zginął rozbijając rosyjską minę. Romek był więc prawie samodzielny, nie licząc wdowy po Hehlu, która tam rządziła. Ale była to dobra kobieta i nie miał u niej krzywdy. Z tego okresu pozostało mi jedyne zdjęcie z lat okupacyjnych, jak trzymamy z Romkiem małego żrebaka na ich podwórku.

W mojej pracy starszy Durys chętnie służył mi radą i pomocą. Był to człowiek bardzo doświadczony i niezwykle spokojny. Dużo się od niego nauczyłem. Ale był już stary i schorowany. Gdzieś tak w 1942 roku przestał pracować i po dłuższej chorobie zmarł. W styczniu tego roku Henryk Bachmann przyjął do pomocy przy krowach nowego pracownika. Był to Antoś, który odtąd razem ze mną zajmował się oporządzaniem stada. Miałem pewną wygodę, bo byłem starszym pracownikiem mimo mojego młodego wieku (15 lat). On natomiast był starszy wiekiem, bo miał około 30 lat, ale nie był zbyt rozgarnięty. Tak jakoś w tym czasie pan Bachmann nabył pięknego buhaja, który dostał oddzielne pomieszczenie, taką dużą klatkę. Było to potężne byczysko, ważące jakieś 600 lub 700 kilogramów. Do pokrywania krów byczka wyprowadzał Antoś, ze względu na to, że był z tym obyty, a ja się do takiej obsługi nie kwapiłem. Byk był wiązany grubym łańcuchem do koryta, a przy wyprowadzaniu, jak tylko zobaczył krowę, to strasznie szalał. Można go było utrzymać tylko dzięki temu, że miał założone w nosie kółko. Do tego kółka przypinany był długi drażek, przy pomocy którego doprowadzano zwierzę do „wybranki”. Razem z kolegami często drażniłem tego byczka. Dochodziło do tego, że na nasz widok już dostawał furii i nawet nieraz pogonił Antosia, którego nie lubiłem. Miałem satysfakcję, jak mu ten byk

przyłożył, oczywiście niezbyt groźnie. Miało to jednak i swoje złe strony, bo jak Antoś był chory, to ja musiałem go obsługiwać, czyli dawać jeść i dopuszczać do okolicznych i naszych krów.

Chyba od kwietnia 1942 roku Stachu przejął pałeczkę ode mnie. Ja przeszedłem do pracy w charakterze robotnika rolnego, dzięki czemu mogłem więcej zarobić. Okazało się jednak, że nowe zajęcie było dużo trudniejsze. Zaczęło się od prac wiosennych, do których należało sypanie sztucznych nawozów na oziminy i przygotowanie pól pod wszelkiego rodzaju warzywa, których sadzonki były przygotowywane w inspektach. Najgorsze z tego było sypanie i „sianie” sztucznych nawozów. Przywiezione ze stacji kolejowej w workach, mieszałyśmy w odpowiednich proporcjach w stodole na klepisku. Potem ładowaliśmy mieszankę na wóz i wieźliśmy na pole, gdzie każdy z robotników brał odpowiednią porcję i sypał ręcznie na oziminy odpowiednio dozując, żeby nie było za dużo i nie za mało. Po takiej robocie byliśmy bardzo brudni, bo nawóz strasznie pylił, ale najgorsze w tym było to, że wżerał nam się w skórę. Niewiele pomagały okulary, ochrona twarzy i reszty ciała. Nigdy nie udało się zabezpieczyć przed wżeraniem się tych nawozów w oczy i skórę. Dochodziło jeszcze sypanie wapna pylistego, które również jest szkodliwe. Tak to trwało co najmniej przez tydzień, aż wszystkie pola obsialiśmy. Ta praca była wykonywana przez trzech a czasami przez czterech robotników. Byli ze mną Janek Kowalski, Tadzio Karpiak oraz Matusiak, starszy już robotnik, (były żołnierz carski).

Z moimi towarzyszami niedoli pracowałem przez wiele miesięcy przy wykonywaniu różnorodnych zajęć. Byłem najmłodszy w tej grupie, ale musiałem robić to samo co inni. Nikt za nikogo pracy nie wykonał. A oprócz wcześniej wspomnianej było jeszcze wywożenie nawozu z obory. Przez kilka miesięcy stado krów tak ubiło ściółkę, na której stało, że trudno to było ruszyć. A trzeba wiedzieć, że wywożenie nawozu z obory odbywało się minimum dwa razy w roku. Wspominam o tym gnojnym zajęciu, bo to była najcięższa praca, szczególnie wyczerpująca dla młodego organizmu. Do tego jeszcze niedożywionego. Samo rozrzucanie obornika na polu nie było już takie ciężkie. Odbywało się to bowiem na powietrzu, nikt nie poganiał, jeśli aura sprzyjała, to można było wytrzymać.

Po orce i bronowaniu tego kawałka roli, przeważnie trzeba było zbierać kamienie, bo wiele ich się wykopywało. Dziewczyny zbierały je do koszy, a my wynosiliśmy na duże przyzmy, skąd potem wywożono je na szosę lub używano do innych celów, na przykład przy jakiejś budowie. Była to też bardzo ciężka praca, tak przy wnoszeniu, jak i potem przy ładowaniu na wozy specjalnymi gablami. Te prace były prowadzone aż do zniw. W międzyczasie było sadzenie ziemniaków, sadzenie rozsady kapusty, kalafiorów czy też sianie marchwi i buraków, tak cukrowych jak i pastewnych. Do tych prac było przeznaczonych nas czterech robotników, czterech fernali oraz kilkanaście dziewcząt i kobiet. Wszyscy oprócz fernali byli zatrudnieni na dniówkę, czyli płatni byli w zależności od ilości przepracowanych dni. Moja dniówka wynosiła od 80 fenigów i rosła z każdym rokiem. W 1944 roku zarabiałem 1 markę 80 fenigów, za co mogłem kupić marmoladę z buraków i melasę na kartki oraz inne produkty potrzebne do życia.

Muszę jeszcze wspomnieć o pracach wczesną wiosną przy inspektach, do których wynajęto ogrodnika. Jego nazwiska już nie pamiętam. Był on odpowiedzialny za terminowe przygotowanie inspektów i wsianie tam nasion, które następnie były pikowane i rozsadzane po innych inspektach.

Do prac wiosennych należało również sadzenie ziemniaków. Jest to przecież podstawowy produkt żywnościowy w naszym rejonie, oczywiście poza chlebem i kaszą. Do tych prac była najmowana cała plejada kobiet. Były to córki stelmacha oraz naszych fernali. Poza tym była gromada dziewczyn z okolicznych wiosek. Rodziny ich zostały wysiedlone z ich własnych gospodarstw, część z nich wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa, natomiast część była przeznaczona do pracy na miejscu, czyli na terenach przyłączonych do Rzeszy.

Jedyną rozrywką były chóralne śpiewy i pogaduszki. Poza tym dobieraliśmy się w parach obok siebie i można było nieraz gawędzić o niebieskich migdałach. Celowała w tym niejaka pani Leśniewska, z którą lubiłem pracować. Poza nią były też inne dziewczyny, które chętnie polowały na chłopaków. Bo na dwadzieścia dziewczyn było nas tylko trzech. Nie liczę oczywiście żonatych.

Mimo braku odpowiedniego odżywiania, to nawet to skromne, jakie zdołaliśmy wypracować wraz z ojcem i mamą jakoś starczało na naszą rodzinę, która w 1944 roku powiększyła się do dziesięciu osób, bo urodziła się Kazimiera Teresa.

W 1942 roku siostra ojca, Walentyna, przywiozła do nas na pewien czas swoją córeczkę Halinkę. Powodem była sprawa sądowa, gdyż Wala została skazana przez Niemców na więzienie. Po odsiedzeniu wyroku zabrała Halinkę do Łodzi. Dziecko miało u nas dobrze, bo nasza rodzina była przyzwyczajona do małych dzieci i czuły się u nas jak u siebie w domu. Mała Halinka nie sprawiała kłopotu. Jedynie mama miała nieco więcej pracy.

Trzeba wspomnieć o higienie w naszej rodzinie w tych ciężkich okupacyjnych czasach. Jeśli ktoś myśli, że to proste, to jest w wielkim błędzie! Po pierwsze Niemcy nie dawali nam odpowiedniej ilości mydła. Były przydzielane mydła szarego na osoby pracujące, ale za mało. Niełatwo było w naszej rodzinie każdego oprąć, dać jaką taką czystą bieliznę do chodzenia, czystą bieliznę do spania. Trzeba więc było tę bieliznę gotować, co dopiero dawało pewność, że nie nabawimy się wszawicy. To było zadanie mamy,

prawie ponad jej siły, ale któremu sprostala, a ja się do dzisiaj dziwię, w jaki sposób. Poza tym trzeba było przygotować codziennie śniadanie, coś na obiad, potem jeszcze podwieczerek, który dzieci przynosiły nam na pole (latem) i oczywiście zapewnić kolację. Pieczenie chleba własnoręcznie, tzn. przygotowanie, to pół biedy, ale skąd brać produkty, bo z mąką były przecież trudności. Do mąki dodawaliśmy moczone ziarno, które przepuszczaliśmy przez maszynkę do mięsa. To dodawano do normalnie przygotowanego zaczynu, a potem robiono bochenki i do pieca. Nie wolno było mieć żaren, czyli kamieni do mielenia ziarna. Mąka była tylko z przydziału i z własnego zboża zmielonego w młynie. Skąd w takich ciężkich warunkach zawsze na święta mieliśmy placek z pszennej mąki, tego nie wiem do dzisiaj.

Od 1943 roku hodowaliśmy nielegalnie w naszym chlewiku świniaczka, którego utuczyliliśmy do 150 kilogramów. Wiosną 1943 roku trzeba było przygotować go do uboju, bo strach było trzymać, żeby Niemcy nie zabrali. Ojciec dogadał się z panem Bachmannem, który załatwił zezwolenie na ubój, a za to daliśmy mu połowę „kabana”. Wypadło to akurat przed Wielkanocą w 1944 roku. Oj, były to znamienite święta! Pożywili się też nasi sąsiedzi, bo mama każdemu dała a to słoninki, a to różnych podrobów.

Z opałem w czasie okupacji było bardzo ciężko. Niemcy niektórym pracownikom sprzedawali brykiety (miał węglowy zlepiony), ale to się źle paliło. Lepiej było, kiedy dodało się je do drewna lub torfu. Dlatego też cięliśmy zimą stare drzewa na odpowiednie kłocce, a po wysuszeniu łupałem je w drewnutni na opał dla „dworu” pana Bachmanna. My robotnicy mogliśmy korzystać z resztek tego drzewa, tzn. kopaliliśmy pnie ściętych drzew. Te pieńki były bardzo trudne do wydobywania, trzeba było się strasznie przy tym napracować. Nieraz musieliśmy wydobywać je przy pomocy koni. Dzięki tym pracom mięśnie rąk mieliśmy niezłe wyrobione, ale też i wiele lat później odczuwało się różne bóle.

W 1941 roku zima była tak sroga, że nasi miejscowi Niemcy chodzili po polskich domach i siłą zabierali pierzyny i ciepłą odzież. Z naszego skromnego dobytku zabrali ojcu jego żółty kozuch, jedyny jaki nam się zachował z okresu przedwojennego. Pierzyny zostawili widząc gromadę dzieciaków w domu. Wysyłano te zagrabione rzeczy na front wschodni, żeby przydziać panów świata. Widząc fiasko frontального ataku na Moskwę, Hitler zdecydował się uderzyć na południu w kierunku ówczesnego Stalingradu. Fragmenty komunikatów i wiadomości przedostawały się nawet do nas robotników folwarcznych. Było to już zimą 1941 roku i na przełomie 1942 roku. Natomiast obrona Stalingradu była niezwykle rozpaczliwa i gdzieś tak w lutym 1942 roku zapanowała w całej Rzeszy żałoba, bo kocioł stalingradzki został zlikwidowany i feldmarszałek Paulus poddał swoją armię ku wściekłości Hitlera. Świadczyły o tym flagi ze swastyką opuszczone do połowy masztów z żałobnym kirem. Niemcy stracili trochę ze swojej buty, bo przekonali się, że nie zawsze muszą zwyciężać.

W czasie tych mrozów my – robotnicy folwarczni – robiliśmy maty ze słomy oraz kręciliśmy powrósł, przygotowując je na żniwa do wiązania żyta i owsa. Maty były używane do przykrywania inspektów w okresie wczesnej wiosny, gdzie hodowano rozsądę kapusty czy też pomidorów. Przy tym zajęciu pracowało nas trzech – ja, Tadzio Karpiak i Janek Kowalski. Ja jeszcze miałem w obowiązku rąbanie drzewa dla dworskiej kuchni.

Zawsze wiosną miałem w zakresie obowiązków przykrywanie inspektów matami na noc, a na dzień ich odkrywanie. Trzeba było jeszcze odpowiednio podnosić okna inspektowe, żeby dozować powietrze tym roślinom. Służyły do tego odpowiednie zębate podnośniki. Po zasadzeniu w polu były one już zahartowane i mogły normalnie rosnać. Kiedy już były wyrosnięte, trzeba było je okopywać i pielnić. Robiliśmy to całą gromadą – dziewczęta i my trzej młodzieńcy. Też paskudna praca, bo cały czas człowiek pracował schylony.

Chyba latem 1943 roku trafiła mi się na półtora miesiąca doskonała praca, gdyż zostałem „polowym”. W związku z tym musiałem dużo wcześniej wstawać i iść na pole żeby pilnować przed kradzieżą kalafiorów, marchwi czy kapusty lipcowej. Pilnowałem tego dobra podczas przerwy obiadowej i do późnego wieczora. Chodziłem sobie i tylko uważałem, żeby nic nie zginęło. Dobre to było zajęcie, ponieważ trochę wypocząłem od ciężkiej pracy. Były to moje jedyne wakacje podczas okupacji! Natomiast baby nie mogły patrzeć z zazdrości, że nic nie robię! Dlatego też knuły intrygi i po pewnym czasie musiałem wrócić do normalnej roboty. Ale co odpocząłem, to było moje!

Już od 1943 roku w całej Rzeszy nasiliły się bombardowania miast i obiektów wojskowych. Niemcy zaczęli wywozić małe dzieci do mniejszych miejscowości i na wieś. Do Bachmanna przyjechało dwoje maluchów – około dziewięcioletni chłopiec i siedmioletnia dziewczynka. Rysio, synek Bachmanna, chodził z nimi na folwark, kiedy tylko wrócił ze szkoły z Kutna. Często wpadał do mnie, bo jakoś mnie polubił, no i wtedy zaczynały się zabawy. Najczęściej pokazywałem im różne miejsca na folwarku – oborę z krowami, konie w stajni, buhaja, który lypał straszonym wzrokiem na nich i nerwowo grzebał nogą. Wymyśliłem w stodole skoki z belki na słomę. Było to dosyć wysoko, ale dla mnie nie było żadnego problemu. Dla Rysia, który miał jakieś 12 lat, też nie było trudne. Myślałem, że oni się ode mnie odczepią, ale gdzie tam! Pierwszy skoczył ten mały i bardzo mu się to spodobało. Za nim skoczyła dziewczynka i tylko krzyczała: „noch ein mal”, czyli jeszcze raz. Zabawa była na całego. Potem tylko

mnie łapali, żeby te skoki uprawiać. Ale starałem się, żeby nie za często, obawiałem się bowiem jakiegoś wypadku oraz pana Bachmanna.

Zimą 1944 roku pan Bachmann zdecydował, żeby bagrować jeden z dwóch stawów, które należały do folwarku. Staw był bardzo płytki, więc skorupa lodowa była cienka. Przebicie jej nie stwarzało dla nas żadnej trudności. Przy tej pracy byliśmy zatrudnieni ja, Tadzio Karpiak, Janek Kowalski i Józio Sochacki. Z tym Józkiem mieliśmy nieraz spory ubaw, bo był to chłopak dosyć ograniczony, chyba tylko po pierwszej klasie szkoły powszechnej, stąd niewiele wiedział o świecie. Pracował w naszym folwarku wraz ze swoją matką, a mieszkali za wsią Witonia koło torów. Jego ulubionym tematem był „brat Szczepan”, który według niego wszystko potrafił. Często nazywaliśmy go żartobliwie: „mój brat Szczepan”.

Latem często korzystaliśmy z kąpieli w tym drugim stawie, przez który płynął strumyk. Nie był on duży, ale wiosną mocno przybierał i rozlewał się na okoliczne łąki. Poza tym latem często pławiliśmy tutaj konie, bo był dosyć głęboki i do tego doskonale się nadawał. Były w nim też ryby, ale jakoś nigdy nie udało nam się żadnej złowić. Po prostu żaden z nas tego nie umiał.

Muszę jeszcze wspomnieć o jednym z robotników. Był to brat dwóch siostrzyczek Wróblewskich. Miał na imię Władek i był od nas starszy o jakieś cztery lata. W związku z tym uważał się za dużo mądrzejszego. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie ten jego przemądrzały ton i wyniosłość z jaką nas pouczał. Ale mnie to osobiście nie przeszkadzało, gdyż lubiłem jego młodszą siostrę, która zawsze stawała po mojej stronie. Ona też mnie lubiła i często ze sobą przebywaliśmy. Ale to już inna historia.

Za czasów rządów kreisleitera w folwarku przez pewien okres pracował jako „kuczer” niejaki Królak. Pochodził z Jankowa Górnego skąd całą ich rodzinę Niemcy wysiedlili. Z jego bratem Leszkiem chodziłem przed wojną do tej samej szkoły powszechnej w Jankowie. Stąd znałem Janka. Był to przystojniak i nasze babki oglądały się za nim. Natomiast on upatrzył sobie Helenkę Czarnecką, córkę stelmacha. Ta się w nim całkowicie zadurzyła. Ten stelmach mieszkał w oddzielnym domku obok naszych koszarowych „czworaków”. Był tam też warsztat stolarski, gdzie pan Czarnecki wykonywał różne roboty stolarskie i kołodziejskie. Wszystkie obudowy inspektów w naszym folwarku były robione w tym warsztacie. Poza tym wykonywał różne doraźne prace dla innych Niemców. W drugiej połowie tego domku mieszkała jego rodzina. Mieli dużo więcej miejsca do mieszkania aniżeli inni pracownicy folwarku. Ich szczęście. U tego stelmacha pana Czarneckiego była jeszcze jedna młodsza dziewczyna, która miała tak jakoś 12 lat, chyba o imieniu Wanda. Ale na podrywkę była jeszcze trochę za młoda.

Zima w końcu 1943 roku znowu była mroźna. Boże Narodzenie obchodziliśmy tak jak nas było na to stać w czasie tej okupacji. Wigilii dokładnie nie pamiętam. Zapewne choinki nie było, bo niby skąd. Lasów w pobliżu Witoni nie było, to i drzewka nie. Natomiast nie było też głodu. Zawsze na stole były ziemniaki, do nich kapusta. Nie wiem skąd, ale i czasami było mięso z kury, oczywiście własnego chowu. Jajka i biały ser na śniadanie czy kolację z ciemnym chlebem, często barszcz. W święta bywały nawet placki z białej mąki – rarytas w tamtych czasach.

Tak się zaczął rok 1944. Niemcy dostawali lanie na froncie wschodnim. Ruszyła ofensywa i wyzwalano coraz to nowe tereny Ukrainy, Białorusi i nasze polskie ziemie. Tutaj na prastarych ziemiach polskich powstał konflikt, gdyż Armia Krajowa, prawowita Armia Polska, która biła Niemców była rozbrajana przez oddziały NKWD. Przykładem Podole i Wołyń oraz Wileńszczyzna, gdzie rozbrajano polskie oddziały AK i wywożono na Sybir lub wcielano (oczywiście niektórych) do Armii gen. Berlinga. W naszym folwarku wiedzieliśmy tylko o fragmentach operacji wojskowych. Nie mieliśmy gazet, nawet tych „gadzinowych”, czyli wydawanych przez Niemców. Ja czasami dorwałem jakąś niemiecką gazetę, szczególnie „Volkische Beobachter”, to tam piąte przez dziesiąte coś przeczytałem. Potem to korygowałem z mapą Europy i chociaż fragmenty poznawałem. Mało, ale zawsze się człowiek zorientował. Mogłem też to przekazać naszym robotnikom.

Zimowe mrozy nam robotnikom bardzo dokuczały. Przez całą okupację nie kupiliśmy sobie żadnych ciepłych ubrań. Łataliśmy stare kurtki i robiliśmy własnoręcznie buty drewniaki. Mnie czas mijał na rąbaniu drzewa w drewnitni, żeby panu „dziedzicowi” było ciepło! Zawsze człowiek trochę zarobił, w każdym bądź razie krzywdy nie było. Gdy tylko wiosną 1944 roku trochę słończko poszło wyżej i zrobiło się ciepłej, zaczęły się normalne prace przy inspektach. Miałem więc znowu zajęcie przy podlewaniu i tym podobnych pracach związanych z przygotowaniem rozsady do pikowania i potem do sadzenia w polu. Tam już dorastały do swoich właściwych rozmiarów i były zbierane przez pracowników folwarcznych, czyli przeważnie przez kobiety. Część była dla rodzin pracowników, natomiast całe tony odstawiana na wywóz do głodniałej Rzeszy.

Normalne prace polowe były wykonywane przez całą wiele dziewczyn i zamężnych kobiet, których było około dwudziestu. Nie wszystkie pamiętam. Pracowały w folwarku m.in. dwie siostry Wróblówny, Wanda i druga młodsza, której imienia nie pamiętam, córka stelmacha Helenka oraz córka drugiego stolarza Sabinka. Sabinka nawet została matką chrzestną naszej najmłodszej latorośli Kazimierzy Teresy, urodzonej wiosną 1944 roku. Nie pamiętam natomiast, kto został ojcem chrzestnym. Chrzest odbył się w Górze św. Małgorzaty. Obchodów tej uroczystości też specjalnie nie pamiętam, mogę tylko

przypuszczać, że musiały jakieś być, bo tak się złożyło, że na Święta Wielkanocne skorzystaliśmy z zezwolenia na ubój wieprzka wyhodowanego przez mamę, a podzieliliśmy się nim z panem Bachmannem, który dostał zezwolenie na ubój. Takie to były czasy, ale zawsze coś nasza rodzina na tym zyskała, a przy okazji także nasi sąsiedzi.

W majątku pracowały również żony naszych folwarcznych fernali, m.in. pani Leśniewska, a także niejaka Hania – moja pierwsza, okupacyjna sympatia. Była też Zosia Kobuz, która mieszkała za stacją, Sochacka, starsza kobieta i jeszcze wiele innych, których nie pamiętam.

Tak to powoli minęła wiosna 1944 roku. Był to czas pełen nadziei dla nas Polaków pracujących u Niemców, czy to u bauerów, czy na terenie folwarku. Wśród robotników chodziły słuchy o różnych akcjach partyzanckich przeciwko niemieckiemu okupantowi. Ale na naszych terenach nikt ich nie widział, bo tu nie było lasów ani gór. Poza tym na obszarze Rzeszy możliwa była tylko konspiracja, o walce zbrojnej nie mogło być mowy. Polacy byli zbyt rozproszeni i bardzo kontrolowani.

Około lipca 1944 roku drogi prowadzące ze wschodu na zachód zaroily się od uciekinierów niemieckich. Na furmankach, na rowerach uciekało to wszystko w głąb Rzeszy, byle dalej od bolszewików. Prowadzili swój nędzny dobytek, bydło, a na wozach rodziny. „Naród panów” zwiewał do Vaterlandu. Jakże miło było wspomnieć wrzesień 1939 roku! Ten exodus trwał przez jakieś dwa tygodnie. Potem nagle się urwał. To znaczy nie było żadnej ucieczki Ukraińców, niemieckich maruderów wojskowych itp. Natomiast obserwowaliśmy wzmożony przelot różnych samolotów, prawdopodobnie niemieckich. Latały one dosyć nisko. Natomiast wysoko latały prawdopodobnie samoloty alianckie. Wtedy to po raz pierwszy widziałem chyba ze dwa razy potężny niemiecki samolot transportowy o sześciu silnikach, po trzy na każdym skrzydle. Poza tym to monstrum miało jako podwozie dwie gąsienice zamiast kół. Leciał dosyć nisko, tak że mogłem go doskonale obserwować. Robił wrażenie! Nigdy później nie widziałem takiego samolotu.

Pod koniec lipca 1944 roku w Witoni rozlokowała się niemiecka jednostka artylerii przeciwlotniczej. Natomiast od strony wschodniej, czyli od Warszawy słycać było dudnienie ciężkiej artylerii. Ziemia aż stękała od tych wybuchów. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Ludzie po cichu mówili, że ruskie „dają w dupę” szwabom. Żyliśmy nadzieją, że nareszcie nadejdzie wyzwolenie od tych Niemców. Szczególnie, że na naszych polach zaczęliśmy znajdować ulotki PKWN-u, w których ogłaszano Manifest Lipcowy. Zebrałem kilka i przeczytałem naszym robotnikom. Wiadomość o powstałym rządzie Bieruta i Gomułki, tzw. rządzie lubelskim z Wandą Wasilewską, była dla nas odciętych od wszelkich wiadomości prawdziwą rewelacją. Wreszcie będzie wolna Polska i to robotnicza! Na naszych terenach przecież nikt nie znał metod działania bolszewików, nie słyszał o eksterminacji Polaków dokonywanej na terenach wschodnich. Przecież tamci obiecywali nam ziemię dla chłopów, fabryki dla robotników, szkołę dla młodzieży... A wcześniej mieliśmy niemieckie obozy koncentracyjne, więzienia i inne prześladowania. W tej sytuacji czekaliśmy z utęsknieniem na nowy ład. Z zainteresowaniem i wiarą czytaliśmy słowa kierowane do nas robotników. Wierzyliśmy, że na pewno będzie lepiej niż pod okupacją niemiecką.

Kiedy zrzucano te ulotki, Niemcy dostali szału. Zaczęli ich szukać po polach i u ludzi, ale nikt im tego nie ułatwiał. Tymczasem ze stacjonującej w Witoni jednostki niemieckiej do naszych czworaków wieczorami zaczęli przychodzić „na podryw” dwaj żołnierze. Lubili kręcić się koło naszej klatki, gdzie mieszkała Kornelia, siostra pani Durysowej, a czasami przychodziły też inne panny. Miałem więc możliwość próbować rozmowy w języku niemieckim z tymi młodymi mężczyznami. Byli tacy sami jak nasi chłopcy. Na cholerę im była potrzebna wojna! Ale musieli na nią iść, albowiem „Befehl ist Befehl”, a jak nie, to więzienie. Ale z tymi żołnierzami wiązało się coś niepokojącego. Huk armat był nieustanny. Poza tym nasilały się pogłoski od tych, co czasami czytali niemieckie gazety lub słuchali radia, że w Warszawie wybuchło powstanie. Co i jak, tego nikt nie umiał dokładnie podać. My robotnicy mieliśmy absolutny zakaz dostępu do jakiegokolwiek informacji. Byliśmy jak to „przysłowiowe dziecko we mgle”. Przecież jak już wspominałem, polskiej prasy nie było, nawet tej wydawanej przez Niemców. Radia Polacy również nie mieli, to skąd mieliśmy cokolwiek wiedzieć? W naszym folwarku praca trwała normalnie, ciężko harowaliśmy przy żniwach. Lato bowiem było niezwykle upalne tego roku. Niemiec- cy żołnierze z pelotki przemalowywali samochody terenowe na kolory ochronne. Widziałem to po raz pierwszy. Najpierw opalali starą farbę palnikiem, następnie czyścili te miejsca i dopiero potem nakładali farbę ochronną, malując w esy floresy, przeważnie w różne łaty.

Już w połowie sierpnia, tak jakoś w niedzielę, niemieccy żołnierze zorganizowali pokaz filmowej kroniki wojennej. Zrobili to w jednej ze stodół. Zasilanie mieli z generatora, który stał na dziedzińcu. Ekran rozwiesili na belce i przy zamkniętych wrotach nawet był dosyć wyraźny obraz. Zebrało się wiele osób, z naszego folwarku i z innych niemieckich gospodarstw. Nawet sami Niemcy przyszli na ten pokaz, bo przecież oni też nie chodzili do kina, bo najbliższe było w mieście, czyli w Kutnie lub w Łęczycy. Dla nas to było wielkie przeżycie, bo przecież przez całą wojnę nie byliśmy w kinie! Na filmowych obrazach z frontu po raz pierwszy zobaczyłem wysadzanie torów kolejowych oraz niszczenie zakładów i fabryk przed oddaniem ich Rosjanom. Następnie pokazano walki na froncie zachodnim, oddziały toczące boje z aliantami. Niemcy pokazywali też jak przygotowywali rakiety V-1 w podziem-

nych magazynach i następnie odpalali je w kierunku Londynu. Strzelanie z działa „grubej Berty” było filmowane z walk powstańczych w Warszawie. Widzieliśmy to pierwszy raz i zrobiło to na nas niesamowite wrażenie! Jednak największą frajdę miały dzieciaki, które jak te wróbelki siadały na klepisku stodoły i z rozdziawionymi dzióbkami oglądały po raz pierwszy w życiu ruchome obrazki na ekranie.

Długo jeszcze po tych pokazach komentowaliśmy obejrzone zdarzenia. Po pewnym czasie, gdzieś tak na początku września, żołnierze z obrony przeciwlotniczej gdzieś się przenieśli. Powoli przechodziliśmy na jesienny rytm pracy w folwarku. To znaczy, że jak co roku przygotowywaliśmy się do zbiorów płodów rolnych na zimę. Były prowadzone omłoty zebranych latem zbóż, które czym prędzej Niemcy zabierali do centralnych rejonów Rzeszy, ciągle bombardowanych przez Aliantów. Całe szczęście, że pan Bachmann część tych zbiorów zostawiał dla swoich robotników. No i oczywiście dla siebie.

Jesienią też, widocznie z uwagi na sytuację na froncie wschodnim, pan Bachmann zlecił stelmachowi panu Czarneckiemu oraz ojcu Sabinki przygotowanie skrzyń. Aby przyspieszyć prace na pewien czas przydzielił mnie nawet do pomocy ojcu Sabinki. Dobrze to było zajęcie, bo w cieple i człowiek tak się nie narobił jak w polu czy gospodarstwie. Ale co dobre nie może trwać długo. Po przygotowaniu pewnej, dosyć dużej liczby skrzyń, porozdzielano je po niemieckich rodzinach. Dla nas był to oczywisty znak, że już wkrótce będą musieli uciekać. Opanowała nas wielka radość i z niecierpliwością oczekiwaliśmy na ten moment.

Tej jesieni jak co roku dołowaliśmy ziemniaki, buraki pastewne dla bydła i liście na kiszonkę. Dni stawały się coraz zimniejsze. Zapowiadała się kolejna mroźna zima. Święta Bożego Narodzenia tego roku nie były zbyt radosne. Oczywiście głodu specjalnie nie było, były przecież jakieś produkty na Wigilię, niemniej jednak choinki nie mieliśmy. Nie mówiąc już o prezentach, gdyż takiego pojęcia nie znaliśmy! Powoli nam te święta przeszły. Cały zysk to był jedynie wypoczynek, podczas którego pograliśmy jak zwykle w karty. Ulubioną naszą grą była hazardowa gra w oczko, ale my graliśmy nie na pieniądze tylko na punkty.

Na koniec roku 1944 dzięki pracy fizycznej z chorowitego chłopaka stałem się silnym młodzieńcem. Miałem bardzo wyrobione mięśnie rąk i nie ulegałem już częstym przeziębieniom. Wiele wydarzeń i ludzi z tego okresu zatarło się już w mojej pamięci, ale do dziś wspominam pracującego u nas dorywco stelmacha. Był to staruszek, który chętnie opowiadał dzieje biblijne, a szczególnie upodobał sobie Babilonię i Asyrię. Mogłem z nim na te tematy trochę podyskutować dzięki książkom pani Kamińskiej. Lubił szczególnie temat króla Nabuchodonozora. Dyskutowaliśmy sobie o wiszących ogrodach Semiramidy i w ogóle dużo się też od niego dowiedziałem. Mile go wspominam.

Przebywający z nami w folwarku Matusiak, były „praporszczyk” z carskiego wojska, opowiadał nieraz o swojej służbie przed I wojną światową pod japońską granicą. Mrozy były tam wówczas tak duże, że ziemia nocą pękała. Huk był przy tym tak potężny, że wartownicy nie wiedzieli czy to przypadkiem nie atak Japończyków. Mieli też tam na terenie koszar niedźwiedzia uwięzowanego na łańcuchu, którego żołdaci lubili drażnić i dźgać bagnietami. Kiedyś zwierzę tak się wściekło, że zerwało się z łańcucha. Co się wtedy działo, to aż strach pomyśleć! Awantura była straszna, bo dowódca doszedł do sedna sprawy i kilku żołnierzy dostało dodatkową służbę. To jeszcze nic, gdyż kilku żołdatów było przez tego miśka poturbowanych. Podczas I wojny światowej w 1914 roku Matusiak dostał się do niewoli w Prusach Wschodnich. Tam dotrwał do końca wojny i stamtąd go zwolnili już do wolnej Polski.

W pamięci utkwiała mi też awantura z Michałem Czarneckim. Kiedyś pracowałem z którąś z dziewczyn na polu przy grabieniu, a obok pracował z końmi Czarnecki. Chłop lubił babki. Jego żona, wiedząc o tym, często się o to wściekała. Tego dnia zaczął się zalecać do tej dziewczyny, a ona też nie była wobec niego obojętna. Ja na ich amory patrzyłem obojętnie z daleka. Dopiero jak mi kazał sobie pójść na folwark, to się wściekłem, bo co on miał mi do rozkazywania! Zaczęła się awantura. W pewnym momencie skoczyłem do niego z widłami. Nie wiadomo jak by się to skończyło, gdyby w porę się nie zreflektował. Potem mój ojciec dochodził o co tu poszło, ale żadne z nas trojga nie chciało puścić pary z gęby. Dopiero po pewnym czasie sprawa przycichła, a mnie złość minęła. Michałowi zresztą też nie zależało na wyjaśnieniu sprawy. Tylko jego żona miała potem do niego pretensje, bo go dobrze z tej strony znała, ale to już nie moja sprawa. Niemniej jednak kiedyś Czarnecki się zemścił, oskarżając mojego ojca, że podrywał Stefcie Matusiaka. Oczywiście Michał był zazdrosny o wszystkie baby. Natomiast donos, czyli to co zrobił, to świństwo najgorszego gatunku. Bo nie było na to żadnych dowodów, a spowodowało to u nas tylko awantury domowe, które pamiętam do dziś. Ale czas to wszystko załagodził, szczególnie, że ojciec nie dawał żadnych podstaw do jakichkolwiek podejrzeń.

Nie wspominałem jeszcze o naszych rodzinnych „maluchach”. Jasia w 1944 roku pracowała już na folwarku, za to Hania, Marysia i Czesio byli wolni od wszelkiego rodzaju obciążeń. Tereska była jeszcze oseskiem. Dzieci przynosiły nam do pracy śniadanie i po południu podwieczorek, szczególnie latem.



Były to skromne posiłki, ale bez nich byłoby jeszcze gorzej. Podstawowym daniem był chleb, a ponadto zupy typu barszcz i zalewajka. Poza tym dzieciaki chodziły z mamą na cmentarz, gdzie została pochowana żona dziadka Tomasza. Ja mało pamiętam tego rodzaju odwiedzin na cmentarzu.

Nowy rok 1945 powitaliśmy bez specjalnego entuzjazmu. Jedyne co było pewne to silne mrozy, które dawały się nam we znaki. Opadów śniegu specjalnie nie było. Przy tej zmarzniętej ziemi daleko ze wschodu niósł się odgłos wystrzałów armatnich. Zwiastował nam nadzieję na rychłe oswobodzenie. Gdzieś tak około 10 stycznia we wsi Witonia i w folwarku zaczął się ruch. Nasi lokalni Niemcy zwozili do spichlerza na folwarku kufry i walizy z różnym dobytkiem, który mieli nadzieję wywieźć ze sobą do Rzeszy. Około 15 stycznia przed wieczorem ujrzeliśmy od strony Łodzi piękne fajerwerki. Od Witoni to około 50-60 kilometrów. Niemniej słychać było wybuchy. Było to bombardowanie miasta i doskonale było widać „choinki” świetlne zrzucone z rosyjskich samolotów na spadochronach i wolno opadające na miasto.

Następnego dnia pan Bachmann zarządził ładowanie swoich betów na dwa wozy. Na jedno z nich załadował się potem z żoną i synem Ryszardem. Pojechali z nim dwaj nasi fornale – Michał Czarnecki i Durys. Nie mieliśmy do nich żadnego żalu, krzywdy nam nie zrobili, ale mieliśmy satysfakcję, że jadą. Dzięki pracy w tym folwarku nie wywieziono nas do centralnej Rzeszy, gdzie było dużo gorzej, bo z żywnością było ciężko i te tereny były bombardowane przez aliantów.

Pan Bachmann nie chciał wziąć na podwoje ojca ze względu na naszą liczną rodzinę. Z tego samego powodu nie zdecydował się na Walczaka. Okazał się więc przyzwoitym człowiekiem. Inni Niemcy w tym czasie też się ewakuowali, a prawdopodobnie i niemieccy żandarmi, bo nie było ich już nigdzie widać.

Wspomnę jeszcze o tym bombardowaniu. Było to widowisko piękne dla nas – patrzących z oddali. Natomiast dla tych, których bombardowali, to była tragedia. Rosjanie niszczyli bowiem dworce kolejowe w mieście. My jednak nie myśleliśmy o tym, tylko radowaliśmy się, że nareszcie przyjdzie wyzwolenie. Z dnia na dzień wzrastał huk armat, a bocznymi drogami ciągnęły niedobitki niemieckich oddziałów. Szli zmaltretowani i zziębnięci. To już nie byli ci sami „panowie świata” z 1939 roku.

Było to chyba 19 stycznia 1945 roku, kiedy jedna taka grupa niemieckich maruderów wędrowała polami od strony Nędzierzewa, omijając większe osiedla. Z tej to grupy odłączyło się kilku żołnierzy, którzy weszli do Witoni. Być może, żeby się zorientować w sytuacji frontowej albo z głodu. Nagle od strony Strzegocina i Anusina pojawił się rosyjski patrol na samochodzie pancernym. Kiedy zobaczyli we wsi maruderów niemieckich, natychmiast otworzyli do nich ogień. Niemcy zaczęli się bronić i wywiązała się kilkuminutowa walka. Po tej wymianie strzałów niemiecki oddział w popłochu wycofał się na pola do swoich. Rosyjski patrol już ich nie atakował, tylko objechał wioskę i powoli wycofał się do Strzegocina.

Teraz dopiero okazało się, że z oddziałem rosyjskim był syn jednego z polskich rolników, który pokazywał Rosjanom drogę do wsi i służył im za przewodnika. W czasie tej strzelaniny chłopak ten, nie mający przeszkolenia wojskowego, został ciężko ranny i zmarł. Poza tym po stronie niemieckiej zginął jakiś własowiec. W strzelaninie został ranny, ale później żołnierze z patrolu dobili go i pozostawili koło kuźni. Po wyjeździe Rosjan zrozpaczona polska rodzina zajęła się swoim synem, a my oglądaliśmy tego zabitego własowca.

Następnego dnia przyjechali polscy żołnierze. Było to chyba 20 stycznia. Po raz pierwszy od września 1939 roku zobaczyliśmy polskie mundury. Dziwiły nas tylko te orzełki na czapkach podobne do wrony. Ale najważniejsze, że byli to nasi! Zaraz też po wizycie tych żołnierzy pojawiły się pierwsze regularne oddziały wojska sowieckiego. Mróz był siarczysty, jakieś kilkanaście stopni, więc ubrani byli w walonki, czapki uszatki, spodnie waciane i kufajki oraz w białe, ciepłe kożuszki. Przez Witonię szły później na zachód kolejne oddziały piechoty uzbrojonej w karabiny maszynowe. Jechały też samochody pełne sprzętu. Byliśmy już pewni, że Niemców szlag trafi. Polscy robotnicy odzyskali wolność. Niektóre rodziny zaczęły już wracać do swoich gospodarstw. Na Anusinie podobno jakiś polski gospodarz chciał zabić Niemca osiedlonego w jego gospodarstwie.

Tymczasem u nas w folwarku rozlokował się jakiś rosyjski oddział. Było to już przed wieczorem. Żołnierze rozłożyli się w stodołach, oficerowie natomiast u różnych ludzi po domach i we dworze. W naszej ciasnej izdebce ulokowało się chyba dwóch oficerów. Ogrzewali się i wypoczywali po tym zimowym marszu. Natomiast my robotnicy i fornale postanowiliśmy dostać się do magazynu, w którym Niemcy przed ucieczką złożyli swoje kufry. Nazywaliśmy ten magazyn „lamusem”. Był to solidny budynek, zbudowany kilkadziesiąt lat wcześniej z dużych bloków kamiennych, z kratami w oknach. Dostaliśmy do niego klucz od pana Leszczyńskiego pod pretekstem pobrania pokarmu dla koni. Tam były te niemieckie kufry, których nie zdążyli wywieźć. Na samym początku po otwarciu „lamusa” trochę ze strachem zajrzeliśmy do jednego kufra. Znajdowały się w nim różne rzeczy potrzebne w podróży, jak bielizna, ręczniki i tym podobne. Każdy sobie wziął po trochę to co mu przypadło. Ja znalazłem piękne buty oficerki i chciałem je zabrać, ale wyrwał mi je jeden z żołnierzy

rosyjskich, którzy przyłączyli się do rozbierania tych kufrów. Byłem wściekły, ale nic nie mogłem poradzić. Kląłem tylko na niego w myślach.

Rwetes jaki powstał przy otwieraniu skrzyń był straszny. Każdy wrywał co się dało, jeden przez drugiego. Ja, widząc to, wziąłem naszego Stacha do pomocy i razem złapaliśmy cały kufer, po czym cichcem wyszliśmy z tego bałaganu. Zdobycz zanieśliśmy do stodoły obok i tam zamknęliśmy. Był to już ostatni moment, bo wkrótce oficerowie rosyjscy zorientowali się w sytuacji i wygonili wszystkich z magazynu. Co kto wziął, to jego, ale nie było tego wiele. Prawie wszystko zostało w „lamusie”.

Przed budynkiem postawili wartownika. O mało nie skończyło się to tragedią, bo wieczorem ojciec poszedł pod ten magazyn po owies dla koni. Wartownik widząc go natychmiast wystrzelił w górę i położył ojca na ziemi. Dopiero po przyjeździe jakiegoś starszego stopniem zwolniono go i wrócił do domu. Kiedy nam to opowiedział, zrobiliśmy mu awanturę, że gdzieś go nosi wieczorem. Natomiast jeszcze wcześniej, kiedy było widno, uchwaliliśmy, że za naszą pracę w czasie okupacji należy się robotnikom folwarcznym jakaś rekompensata. Ojciec i inni poszli do obory i wyprowadzili dorodną jałówkę z przeznaczeniem na konsumpcję. Tymczasem pan Leszczyński, który jak już wspominałem był ojcem właścicielki tego folwarku, stanowczo się temu sprzeciwił. Nie pozwolił na zabicie krowy zapowiadając, że jeśli nie odstąpią, to „krew się poleje”. Na to ojciec podszedł do niego z nożem w rękę i powiedział: „krew się poleje, ale pańska!” Reszta robotników go poparła i pan Leszczyński musiał ustąpić. Cóż to była dla niego za strata, skoro stado liczyło około 30 krów? Po tylu latach pracy ludziom należała się chociaż ta jedna jałówka. Zresztą robotników poparli i rosyjscy oficerowie, którzy u nas kwaterowali.

Po oprawieniu i podzieleniu mięsa na wszystkie rodziny, w czworakach zaczęło się gotowanie. Nie wiem skąd, ale wieczorem znalazła się i okowita. Mama tylko gotowała i każdemu przydzielała jego porcję. Pamiętam zadymioną izbę pełną ludzi, którzy się u nas zebrawi. Oczywiście popijali tylko dorośli, w tym także oficerowie. Rosyjscy oficerowie opowiadali, jak to teraz będą rządili robotnicy, a panów już nie będzie. Tłumaczył to wszystko na język polski Matusiak, były praporszczyk z carskiego wojska. Ludzie się cieszyli, że Niemców już niema. Pogaduszki trwały do późna w noc. Wreszcie znużenie nas opanowało i senność. Pokładli się wszyscy, jak kto mógł, dzieci na łóżkach, dorośli zawinięci w kożuchy na ziemi, bo przecież w izbie było ciepło. Taki był pierwszy dzień wolności, czy raczej pierwsza noc.

Rano jak zwykle musiałem pójść do oporzędzania stada krów, bo zimą innej pracy nie było. Wszedłem do drugiej stodoły i chciałem brać siano, a tu pod sianem co rusz ktoś leży. Okazało się, że to Rosjanie. Spali zmordowani marszem i mrozem w tych swoich kożuchach, kufajkach i walonkach, a broń leżała koło nich. Jak oni nie pomarзли w czasie tych dużych mrozów, to nie wiem do dziś. Całe szczęście, że mi nie przyłożył który za to deptanie po nich, bo przecież tak było. Ale widocznie byli zbyt zmęczeni, bo nawet nie reagowali.

Tego samego dnia po śniadaniu oddział kwaterujący w naszym folwarku zebrał się i wymaszerował na zachód. O ile sobie przypominam zabrali na wozy resztę tych kufrów z naszego spichlerza.

Przez cały czas od północnego zachodu słychać było głuchy huk armat. Tymczasem u nas zaczęły się nowe porządki. W środku wsi zakwaterował się rosyjski oddział NKWD. Pojawili się jacyś polscy ludzie z podziemia, ale nie wiadomo było dokładnie z jakiej formacji. Nikt tego nie wiedział. Zaczęto organizować służbę porządkową we wsi. My z Jankiem Kowalskim zapisaliśmy się do niej. Dostaliśmy białoczerwone opaski, jakieś karabiny, które pamiętały I wojnę światową i zaczęliśmy patrolować okolicę. Chodziło o to, żeby ludzie nie kradli i nie niszczyli mienia w opuszczonych gospodarstwach.

Pamiętam jak zorganizowano podwodę dla tego zabitego własowca, którego gdzieś wywieziono, aby go pochować. Na naszym posterunku było nas kilkunastu chłopaków, ale nikogo oprócz Janka nie znałem. Polski komendant rezydował obok wojennego komendanta NKWD w tym samym budynku. Było też kilku niższych rangą enkawudzistów, którzy na zmianę jeździli lub chodzili gdzieś ze swoim dowódcą.

Na pierwszy patrol wybraliśmy się z Jankiem do naszych czworaków. Zaraz też robotnicy zaczęli z nami rozmawiać, jakbyśmy dużo więcej od innych wiedzieli. Po tych rozmowach, gdy tylko wróciłem po służbie do domu, przyszła do mnie pani Leszczyńska – żona naszego „rządcy”, jak go nazywaliśmy. Okazało się, że miała do mnie prośbę, żebym porozmawiał z Jankiem o zdarzeniu, mającym miejsce podczas okupacji, kiedy to pan Bachmann wysłał Janka do Rzeszy, konkretnie do Geislingen (chyba Zagłębie Ruhry). Chodziło o to, że Jasiu w zdenerwowaniu pokłócił się przy pracy z panem Leszczyńskim i nie chciał wykonać jego polecenia. Nie było to nic zdrożnego, ale jak to młody gniewny – nie chciał i już! Na tę awanturę nadszedł pan Bachmann, no i po kilku słowach kilkakrotnie Jasiowi dał w twarz. Zakończyło się to wywiezieniem Janka do Rzeszy, skąd dopiero po dwóch latach powrócił jako chory. Stąd obawa pani Leszczyńskiej, że Jasiu będzie się mścił. Ja już z nim na ten temat rozmawiałem wcześniej i powiedziałem mu, żeby nie miał żalu do Leszczyńskiego, bo to nie jego wina, takie były czasy i już. Uspokojona tym pani Leszczyńska była mi bardzo wdzięczna. Ale nie dziwię się, że wcześ-

niej się obawiała. Miała powody, bo niektórzy potrafili być mściwi i za różne krzywdy odpłacali dużo większymi, zresztą nie zawsze słusznymi.

Któregoś dnia komendant posłał mnie do folwarku w pobliżu stacji kolejowej Witonia. Należał on do Niemca, który również przed wojną był jego właścicielem. W czasie wojny musiał podpisać folkslistę, bo był przecież Niemcem z dziada pradziada. Tego się nie wypierał. Natomiast przez całą wojnę chronił polskich robotników i nikogo nie wysłał na roboty przymusowe w głąb Rzeszy. Umieli to docenić jego robotnicy i uprosili go, żeby nie uciekał przed Rosjanami, bo oni go obronią. Właśnie jego wezwał polski komendant, a podejrzewam, że i ten rosyjski też chciał go zobaczyć. Poszedłem do niego i powiedziałem, że jest wezwany na posterunek. Zapytał mnie, czy jest aresztowany, ale zgodnie z prawdą poinformowałem go, że może przyjść w dowolnym czasie, dogodnym dla siebie. Po tym zawiadomieniu wróciłem na posterunek i zameldowałem komendantowi wykonanie polecenia. Kilka godzin później pojawił się ten Niemiec. Rozmawiał z komendantami jakiś czas, a następnie zwolniony został do domu. Co później się z nim stało, nie wiem, bo w marcu wyjechaliśmy do Łęczycy.

Na służbie spędzaliśmy z Jankiem całe dni. Poza patrolami po wsi często miałem dyżury na posterunku. W miarę upływu czasu sytuacja się normowała, niemieccy jeńcy byli transportowani na wschód, gdzie mieli pokutować za zbrodnie wojenne i odbudowywać zniszczenia jakich dokonali. Taka jedna grupa jeńców akurat zatrzymała się przed naszym posterunkiem. W tym samym czasie wracali też Ukraińcy wywiezieni przez Niemców do Rzeszy. Jeden młody chłopak ukraiński zobaczywszy tych jeńców niemieckich doskoczył do nich, żeby któremuś przyłożyć w głowę. Krzycząc „za mojego backę...” trochę jednemu przyłożył. Ale nasi z posterunku szybko go powstrzymali, bo jeniec przecież nie mógł się bronić.

Pewnego dnia stałem na warcie przy wejściu do posterunku, kiedy to jeden z chłopaków, który był akurat po służbie, wracał ze wsi na kwaterę. Widząc go zażartowałem – „Po co wracasz?”, a ten niewiele myśląc otwartą dłonią przyłożył mi w ucho aż zobaczyłem wszystkie gwiazdy. Był to tak niespodziewany atak, że nawet nie zdążyłem się zasłonić. Ale po sekundzie szlag mnie trafił i wpadłem do komendanta z krzykiem: „gdzie tu jest jakiś karabin, ja tego skur... zastrzele!” Zrobił się raban na posterunku, bo nie wiedzieli o co chodzi. Wyleciał ze mną komendant z bronią w rękę i dopiero jemu wszystko wyjaśniłem, ale tamten sukinsyn już sobie poszedł. Okazało się potem, że cholera pochłaniała sobie wody, tak że nie wiedział nawet gdzie był. Mało brakowało, a dostał by kulę. Na drugi dzień przyszedł do mnie z przeprosinami. Ale co się z niego naśmiali, że o mało śledzia nie zjadł! Mnie natomiast komendant nie pozwolił chodzić z nabitym karabinem mówiąc, że wybił bym mu posterunkowych. Moim zdaniem niektórych by należało!

Pod koniec lutego komendant naszej placówki MO przydzielił mnie do powożenia bryczką rosyjskiego wojennego komandira, z którym wyjeżdżał nasz komendant i jeden z enkawudzistów w obstawie (z pepeszą). Jeździliśmy po dworach, których w naszej okolicy było kilka, między innymi Ktery, Strzegocin, Leszno. W tych dworach zbierali się robotnicy, a wojenny komandir agitował ich do parcelacji gruntów i zachwalał zdobycze klasy robotniczej. Zaczynała się komunizacja Polski. Te dwory znałem jeszcze z czasów wcześniejszych, kiedy to pan Bachmann był szefem NSDAP w Witoni. Otóż w tym okresie z dużych miast z głębi Rzeszy przywożono do Warthegau (tak nazywał się okręg Warty) niemieckie dzieci. Były one rozmieszczane w dużych dworach u Niemców. Wspominałem już o tym działaniu trochę wcześniej, bo i u nas czyli u pana Bachmanna było ich dwoje. Kiedy przychodziły święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocne, dla tych dzieci były zbierane i rozsyłane paczki świąteczne. Mnie zawsze pan Bachmann powierzał to zadanie, więc jeździłem po dworach na rowerze. Mimo że były to dzieci niemieckie, żal mi ich było, bo co one zawiniły, że ich rodzice zgotowali im taki los.

Tymczasem na naszym posterunku kazali nam pisać podania o przyjęcie do Milicji Obywatelskiej. Janek Kowalski napisał to podanie i został przyjęty. Natomiast ja nie chciałem i w związku z tym odszedłem z posterunku. Nasza rodzina po uzgodnieniu warunków z panią Kantorkową, około 15 marca 1945 roku przeprowadziła się do Łęczycy. Oczywiście zabraliśmy ze sobą naszą Meckę. Zamieszkaliśmy na Ozorkowskim Przedmieściu, w niedużej izdebce na terenie gospodarstwa pani Kantorkowej. Było tak samo ciasno jak w Witoni, ale byliśmy już do tego przyzwyczajeni. We trzech, to znaczy ojciec, ja i brat Staszek zaczęliśmy pracować w gospodarstwie pani Kantorkowej. Wszelkie roboty wymagające zaprzęgu konnego i na roli robił ojciec, a my ze Stachem wykonywaliśmy prace pomocnicze i ręczne, jak to zwykle w gospodarstwie. Było to gospodarstwo ogrodnicze, a więc w obowiązkach mieliśmy wszelkie prace przy inspektach, a potem przy sadzeniu rozsady i pieleniu. Wykonywaliśmy je pod kierunkiem ogrodnika, który mieszkał po przeciwnej stronie ulicy. Miał ładną córeczkę, która też chodziła do szkoły.

Już w marcu 1945 roku uruchomiono w Łęczycy szkołę, więc nasze dzieciaki – Jasia i Hania – zapisane zostały na naukę dzienną, żeby uzupełnić sześciolatnie zaległości. Natomiast my ze Stachem poszliśmy do szkoły wieczorowej. Stachu do V klasy szkoły powszechnej, a ja do klasy VI. Było to ciężkie zajęcie. Przez te sześć lat nikt nas nie uczył, a w domu też nie mieliśmy do tego okazji i warunków.

Z tego okresu nie pamiętam specjalnie żadnych szkolnych wybryków, bo nie mieliśmy do tego głowy. Chodziło przecież o to, żeby czegokolwiek się nauczyć. Nie pamiętam też żadnych kolegów z klasy. Spotykaliśmy się tylko z braćmi Kaczyńskimi, których ze Stachem znałem jeszcze z listopada i grudnia 1939 roku, właśnie ze szkoły powszechnej w Łęczycy. Był to krótki okres, kiedy to Niemcy pozwalali chodzić polskim dzieciom do polskiej szkoły. Ale w 1940 roku już nie. Kaczyńscy chodzili potem trochę do szkoły zawodowej w Łęczycy, bo pracowali w różnych warsztatach (np. w krawieckim czy mechanicznym). Tym dzieciom Niemcy pozwalali chodzić do szkoły zawodowej, gdzie uczono nawet języka niemieckiego. Tyle chociaż zyskali mieszkając w mieście, my na folwarku tego nie mieliśmy.

Czasem ze Stachem odwiedzaliśmy nasze dawne lokum za parkiem, gdzie mieszkaliśmy na początku okupacji i skąd kilka lat wcześniej wysiedlił nas gestapowiec. Kiedyś wracając z tych odwiedzin natknęliśmy się na bandę łęczyckich łobuziaków. Od słowa do słowa nawiązała się rozmowa, która przeszła w awanturę. Ich kilku, a nas dwóch. Stasiu dał nogę i mądrze zrobił. Natomiast ja nie miałem zamiaru ustąpić. Może bym ich przestraszył, bo myśleli, że mam nóż w kieszeni, ale ja po rycersku zaprzeczyłem i pokazałem gołe ręce. W wyniku starcia gołymi rękami wyniosłem kilka siniaków. Brzydko to wyglądało. W domu pytali mnie później, czemu jestem taki poobijany. Trzeba było skłamać, że się potłukłem przy pracy. Nie bardzo wierzyli, ale jakoś mi to uszło. Po pewnym czasie byłem już mądrzejszy i z tymi łobuziakami nawet się zaprzyjaźniłem.

Muszę jeszcze wspomnieć o jednej bardzo ważnej sprawie. Otóż już od świąt Bożego Narodzenia 1944 roku dostałem dosyć przykrych dolegliwości. Mianowicie zapalenia spojówek w obu oczach. Były czerwone i piekły mnie. Słabo rozróżniałem barwy oraz odczuwałem ból przy świetle słonecznym. Przez pewien czas jakoś to znośiłem, ale w Łęczycy chodząc do szkoły nie mogłem korzystać z książek, wobec czego postanowiłem pójść do lekarza. Lekarz stwierdził brak witamin i dał mi jakieś krople. Mój stan trochę się poprawił, ale skutki choroby odczuwałem jeszcze przez wiele miesięcy.

W Łęczycy mieszkaliśmy już w końcowym okresie wojny. Przez miasto przechodziły całe stada pędzonych przez Rosjan krów i koni. Wszystko szło na wschód. Rosjanie ograbiali nie tylko niemieckie, ale i polskie folwarki. Wzięli nawet nasze przedwojenne konie arabskie z polskich hodowli. Oni wtedy mieli wszystko w swoich rękach i z tego korzystali. Szły też na wschód grupy niemieckich jeńców. Wywożono urządzenia fabryczne, a nawet rozbierano tory kolejowe. Wszystko tam się przydawało, nieważne czyje to było. Pamiętam ruch pociągów na stacjach kolejowych, przez które szły całe transporty. Jeden z takich transportów z bydłem był konwojowany przez naszych żołnierzy, a było to dziewiątego maja. Grupa ta zatrzymała się na odpoczynek w gospodarstwie pani Kantorkowej. Nagle żołnierze ci zaczęli strzelać z pepeszy jak szaleni! Nie wiedzieliśmy co się stało. Po chwili gruchnęła wieść, że wojna się skończyła. Nareszcie! Pamiętam ogólną radość, że wreszcie koniec naszej niedoli.

Świętowanie tego wieczoru było ogólne. Żołnierze popijali i cieszyli się, a my razem z nimi. Zaraz też przywieziono do nas przesiedleńców z Kresów Wschodnich. W naszym gospodarstwie osiedliła się jakaś rodzina z Wileńszczyzny. Mówili takim śpiewnym językiem i byli bardzo biedni, nic prawie ze sobą nie mieli. My już to kiedyś sami przeżywaliśmy, więc jak tylko było można to im pomagaliśmy, oczywiście sami niewiele mając. Ratowała nas przecież ta nasza Mecka, bo mleka nam nie brakowało, a i innym też można było dostarczyć. Po pewnym czasie rodzina ta wyjechała na Ziemię Odzyskaną.

Posiadanie własnej krowy było w tym czasie prawdziwym bogactwem. Dlatego też pewnego dnia mama rankiem narobiła krzyku, że „krowy nie ma w oborze”. Byliśmy tym niezwykle poruszeni. Zaczęły się poszukiwania w najbliższej okolicy. Ale krowy jak nie było tak nie ma. W tej sytuacji szybko pobiegłem na posterunek Milicji i zameldowałem, że ktoś nam ukradł krowę. Całe szczęście, że na tym posterunku spotkałem wujka Jatczaka, męża cioci Rózi, siostry ojca. Po powrocie z robót w Rzeszy zapisał się do Milicji w Łęczycy. Komendant wyznaczył go i jeszcze jednego milicjanta do szukania tej naszej krowy. Przyszliśmy do naszego domu i od obory zaczęliśmy szukać Mecki po śladach jakie zostawiała swoimi kopytkami. Były bardzo wyraźne. Cała nasza ekipa, czyli ojciec, ja, nasz Stasio i ci dwaj stróże nowego, demokratycznego prawa poszliśmy za krową po śladach. Ciągnęły się one przeszło kilometr i zaprowadziły nas do jednego gospodarza w Topoli Katowej. Weszliśmy do gospodarstwa i pytamy o Meckę, a ten rżnie przygłupa, że nie wie o co chodzi. Ale po rozejrzeniu się zauważyliśmy ją stojącą w jego oborze. Tłumaczył się, że widocznie nocą sama przyszła do jego gospodarstwa, a on ją tylko schował, żeby jej nikt nie ukradł. Co za drań! Potem okazało się, że jego syn też służył w Milicji w Łęczycy i wujek go znał. W tej sytuacji krowę oczywiście zabraliśmy, ale sprawie szybko ukrecono łeb.

Po tym incydencie ojciec lepiej zabezpieczył naszą żywicielkę, bo była już zamykana na kłódkę. Tymczasem z przymusowych robót w Rzeszy wróciła część naszej dalszej rodziny. Przyjechała rodzina Ludwika Witczaka z Topoli Katowej (brat mamy). Do Jankowa wracały też rodziny gospodarzy. W szkole na nowo zadomowiła się rodzina kierownika, pana Olszaka. Zaczęła się też nauka w tamtejszej szkole. Życie powoli wracało do normy. My z ojcem obejrzeliśmy nasz przedwojenny dom,

a właściwie jego zgliczca. Po pożarze w 1939 roku zostały tylko ruiny, których nikt nawet nie uprzętnął, gdyż nikt nie zamierzał tu mieszkać. Natomiast w całości zachowała się stodoła.

Po obejrzeniu gospodarstwa rozmawialiśmy w naszej rodzinie o ewentualnym kupnie tego ziemi od właścicielki, czyli pani Wandy Kantorek. Jeszcze w marcu 1945 roku była ona niezdecydowana, chociaż nie odpowiedziała odmownie. Wtedy jeszcze nie była pewna, czy majątek (około 50 hektarów) pozostanie w jej rękach. Ale już w czerwcu 1945 roku nie chciała nawet mówić o sprzedaży! Tymczasem nam ze Stasiem praca u pani Kantorkowej absolutnie nie odpowiadała. Postawiliśmy warunek ojcu, że albo ona nam sprzeda Janków, albo odchodzimy. Ojciec był w kropce. Tymczasem stryj zamieszkały na Wilczkowicach zapisał się do wyjazdu na Ziemię Odzyskane. Wyjechał na Dolny Śląsk w czerwcu, transportem organizowanym przez Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR). Przysłał nam list, że objął tam gospodarstwo poniemieckie w miejscowości Krasowice. To był dla ojca argument. Postanowił przenieść się z rodziną na Ziemię Odzyskane. Zapisaliśmy się na kolejny transport PUR z zaznaczeniem kierunku – na Dolny Śląsk. Tymczasem nasze dzieciaki kończyły szkołę, my – pracujący też dostaliśmy świadectwa ukończenia naszych klas. Ostateczna rozmowa ojca z panią Kantorek odnośnie Jankowa nic nie dała, więc co było robić. Czekaliśmy na transport PUR z nadzieją na objęcie poniemieckiego gospodarstwa.

Najmocniej decyzję ojca przeżywała mama, która nie lubiła żadnych przeprowadzek. Szczególnie, że było to tak daleko i w obce strony. Natomiast my przekonywaliśmy, że tam już jest nasza rodzina, wujek Stanisław i że będzie jakieś oparcie, szczególnie, że sam nas namawiał do osiedlenia. Zresztą, wyjeżdżało tam wielu ludzi, żeby sobie poprawić byt i mieć pracę na swoim. W Łęczycy nic nas już nie trzymało. Brak było perspektywy na inną, lepszą pracę, a pracować nadal u pani Kantorek nie zamierzaliśmy. Nadal u niej pracowała jedynie siostra ojca, która przebywała u nas w Jankowie wiele lat, czyli ciocia Władzia Komorowska. Prowadziła kuchnię i opiekowała się domem doktorowej.

Przed wyjazdem odwiedziliśmy naszą rodzinę – Witczaków w Topoli Katowiej, dzieciaki cioci Rózi Jatczakowej, rodzinę Kazimierczaków, u której podczas naszego wysiedlenia w 1941 roku mieszkaliśmy, dzięki ich życzliwości. A mieszkali oni po drugiej stronie posiadłości pani Kantorkowej, na tej samej ulicy Ozorkowskie Przedmieście.

Nastaly gorące dni lipca 1945 roku. Zaczęło się kolejne pakowanie naszych skromnych betów. Przede wszystkim pierzyn, które służyły nam jeszcze przed wojną. Uratowaliśmy je z pożaru we wrześniu 1939 roku w czasie pamiętnej bitwy o Łęczycę. Potem służyły nam za Parkiem, w Witoni, w Łęczycy, no i teraz w tej dalekiej podróży.

Pewnego dnia na początku lipca dostaliśmy wiadomość – transport czeka na pasażerów na stacji kolejowej Łęczycy. Załadowaliśmy się do wagonu towarowego, a Meckę ulokowaliśmy w sąsiednim. Okazało się, że w tym samym wagonie jadą nasi znajomi. Była to rodzina Rykowskich z Jankowa. To znaczy konkretnie z dworu w Mniszkach. Rykowski był przed wojną ekonomem w tym dworze. Ucieszyło nas to spotkanie, a szczególnie mamę, która знаła dobrze jego żonę, bardzo życzliwą kobietę. Były tam też ich dzieci – syn Józef i jej córka z pierwszego małżeństwa, Marysia. Ojciec lubił sobie pogawędzić z panem ekonomem. Znali się przecież jeszcze wcześniej, bo przed samą wojną ustalali ceny za wynajmowanie łąki dla wujka Stanisława z Wilczkowic.

Wreszcie po skompletowaniu transportu i po przejściu go przez ochronę żołnierzy WP dano sygnał do wyjazdu na Zachód.